

KRONIKA RODZINNA.

PISMO DWUTYGODNIOWE.

WARUNKI PRENUMERATY:

Prenumerata wynosi w Warszawie: rocznie.....	rsr. 4 kop. —
półrocznie.....	„ 2 „ —
kwartalnie.....	„ 1 „ —
Na prowincji i w Cesarstwie dla nad- syłających pieniądze na prenumera- tę wprost do Redakcji:	rocznie..... „ 5 „ —
	półrocznie..... „ 2 „ 50
	kwartalnie..... „ 1 „ 25

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych, w Ekspedycji Gazet, w wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych i w Redakcji, przy ulicy Mazowieckiej, dom hr. Zamojskiego Nr. 1346; W Krakowie, w księgarni pana Friedleina; w Poznaniu, w księgarni p. Leitgebnera; we Lwowie, w księgarni pp. Gaajkowskiego i Seyfartha.

SPIS ARTYKUŁÓW. — Dziewczyna, (wiersz) przez Bronisławę. — Pobieżny przegląd nieba. Pogadanka naukowa przez M. J. (Dokończenie). — Kilka myśli o wychowaniu i wykształceniu naszych niewiast, przez A. D. — Listy z Petersburga, przez Artura Dolińskiego. — Wspomnienia z podróży. Franzensbad i jego okolice, przez A. Moldenhawera. (Ciąg dalszy). — Marzycielka, powieść przez Halinę. (Ciąg dalszy.)

DZIEWCZYNA.

I.

Była dziewczyna—jasne jej oko
Patrzało w przestrzeń śmiało, szeroko.
Gorącym biciem, w progę świata,
Do bramy życia serce kołata.
A w niém, jak ranne kwiatki wiosenne,
Kwitną przecucia, dumki promienne.
Z tych przecuć, marzeń, myśli dziewczęce
Snów różnobarwnych uwiły wieńce,
I strojne niemi, same z nich rade,
Śpieszą do życia, jak na biesiadę.

Jak młoda róża, gdy w rannej chwili
Na wpół się ledwo z pączka wychyli,
Światłem jutrzeńki sama się ploni,
Wzdycha z wiatrami tchnieniem swęj woni,
Tak w niej uczucia, szczęścia nadzieją,
Płoną się, kwitną, tchną i goreją.

I jak z gniazdeczka gołąbka biała,
Rwie się do lotu dusza jej śmiała,
W górę, i w górę, do niebios szczytu,
Ku światłu słońca, w otchłań błękitu!
I przyszłość dla niej jak to przezrocze.
Ona w niej wierzy w gwiazdy uroczę,
Ona je spotka—i znajdzie może
Kto jej te gwiazdy zbierać pomoże.
Ona je splecie, jak w wieniec jasny,
Ku chwale Bożej, ku sławie własnej,
I uwieczniona, promienna niemi,
Stanie w obliczu Nieba i ziemi.

„Ej, ej, dziewczyno! bądź ty ostrożna,
Bo tak rozwijać skrzydeł nie można!
Ty jeszcze nie wiesz, że i do Nieba
Nie tylko wzlatać, lecz i iść trzeba.
Ty jeszcze nie wiesz, że i tam w górze
Nie tylko słońce, lecz są i burze.
A tu na ziemi, jak ciągła zmiana,
Jakie zwodnicze *Fata morgana!*
Co spragnionemu błyszczy zdaleka
Jak toń jeziora, jak żywa rzeka;
Co znużonemu zda się być chłodem,
Cienistym gajem, rajskim ogrodem;

To tylko zbliska przestrzenie piasku,
Tylko igraszka słońca odbłasku,
Co gdy przechodnia zwiabi w pustynie,
On tam zblakany mdleje i ginie.

„A więc ostrożnie, dziewczyno młoda!
Na płonne mary myśli twych szkoda,
Szkoda twych uczuć na czcze uludy,
Szkoda sił twoich na próżne trudy!
Lepiej odrazu marzeń twych wieńce,
Jak kwiat na ołtarz, złożyć w trumience,
Niż kiedyś płacząc grześć naostatku
Dumkę po dumce, kwiatek po kwiatku,
Niż gdyby z niemi, w życia posuszy,
Zwiednąć miał razem i kwiat twęj duszy.”—

Tak radzą starsi bracia jej ducha,
Ona chce słuchać—serce nie słucha.

II.

Sokolém skrzydłem lecą nad światem
Wiosna za wiosną, lato za latem,
Jesień go wieńczy plonem dojrzałym,
Zima pokrywa całunem białym.
Ale świat żyje, i tylko zmienia
Kwiaty, owoce, i pokolenia,
I pełniąc zawsze, co kiedy trzeba,
Rozdaje ludziom, co bierze z Nieba.

Sokolim lotem po nad dziewczyną
Chwile i lata życia jej płyną,
Czas w ich przelocie nie dziw że zmienia
Uczucia serca, myśli marzenia.
Ale dziewczyno! z wiosny twęj kwiatu
Jakiż plon wykwitł twojemu latu:
Że zamiast jego ciepłych promieni,
W oczach twych tylko jak mgła jesieni;
Że zamiast krasy, bladeść straszliwa,
Jak całun zimy, twarz twą okrywa?

Wierząc że życie Nieba odbicie,
Dziewczyna skacząc wbiegła w to życie.
Szczęściem się swoim z każdym chce dzielić,
Szczęściem się wszystkich sama weselić,
I wszystkie stróny duszy dziecięcej
Ponastrajała na hymn dziękczynny.

Gdzież jest to szczęście? Patrzy zdumiona.
Gdzież jest świat tamten, co śniła ona?
We wszystkich oczach troska ponura,
Na wszystkich czołach smutek jak chmura.

Wzrok jęj wita ją dziwném wejrzeniem,
Nie ze współczuciem, lecz z podziwieniem.
Jęj się uśmiechem nikt nie uśmiecha,
Pieśń jęj wesoła kona bez echa,
Albo ją tłumią—tu żalu łkania,
Tam jęk boleści, tam płacz rozstania...

O! i cóż za dziw, że dusza młoda
Od chmur tych kirem zaszła jak woda,
Ze jak jaskółki w lodowej cieśni,
Zamarły w sercu skrzydlate pieśni?..

Biedna dziewczyno! żal ci twych sennyh
Tęczywoh rojeń, widzeń promiennyh;
Żal twych nadziei zgasłych u wschodu—
U bramy życia, otchłań zawodu!
A z nięj jak zimny oddech mógiły
Owiał twe myśli, rozstroił siły,
I lzy z twych oczu lunęły zdrojem,
Nad dolą ludzi, nad życiem swoim.

Lecz darmo! żyjąc, trzeba iść dalej.—

Wy, coście kiedyś ją ostrzegali,
Wy starsi bracia myśli i ducha,
Wy mówcie teraz!—ona posłucha.
Ona już widzi, że ją sen łudził,
Lecz nie przeklina dnia, co ją zbudził.
Szczęścia tu szukać nie śmie dla siebie,
Lecz wierzy w wieczne szczęście na Niebie,
I pyta u was—co czynić trzeba?
Jak iść przez ziemię, by dojść do Nieba?

Bronisława.

POBIEŻNY PRZEGLĄD NIEBA.

POGADANKA NAUKOWA.

(Dokończenie.)

Gdyby kto przed laty powiedział był uczonym, że człowiek potrafi, za pomocą prostego bardzo przyrządu, dokonać najściślej chemicznego rozbioru tęg materyi, z której się składa słońce, a nawet gwiazdy oddalone, któżby był temu uwierzył? A jednak tak jest. Analiza widmowa jest właśnie takim sposobem.

Wiadomo, iż światło słoneczne, rozczepione w pryzmacie, tworzy widmo złożone z siedmiu barw tęczywoh. Widmo to, powiększone za pomocą stosownych szkieł, przedstawia mnóstwo czarnych, wąskich pasków. Jest to wyraźnie brak pewnych promieni, bo paski zawsze w tych samych miejscach widma się pojawiają. Przez czas długi paski czarne były zagadką dla uczonyh, lecz niedawno odkryto prawdziwe ich znaczenie. Trzeba dodać, że na widmach światel sztucznych, na przykład światła elektrycznego, które daje widmo najwięcej do słonecznego zbliżone, w miejscu czarnych, ukazują się paski błyszczące, które żywością barwy odbijają od tła otaczającego.

Dziś wszystko to wydaje się rzeczą bardzo prostą, tak jak każda wiadomość zdobyta w nauce, począwszy od jajka Kolumba; ale dawniej, ile to było domysłów, ile przypuszczeń o tych zagadkowych paskach, co niewiedzieć dla czego, raz blaskiem, to znów ciemnością, drażniły ciekawość uczonyh.

Już Herszel w r. 1822 zwrócił na to uwagę badaczy, że pewne ciała, płonące w płomieniu, zawsze tęg same paski wywoływały w widmie. Ale dopiero Kirchhoff i Bunsen w Heidelbergu, w r. 1860, ostatecznie wyjaśnili, że każde ciało ma w widmie swoje, niewzruszone paski. I tak: najmniejsza odrobinka sodu

zabłakana w płomieniu, wywołuje bardzo charakterystyczny, żółty, błyszczący pasek. Inne ciała mają po kilka pasków różnokolorowych, a niektóre metale, po kilkadziesiąt. Od jasnych pasków do czarnych, już łatwa była droga, bo czarne są właśnie brakiem tych samych jasnych. Niech tylko w tęg miejscu, gdzie przechodzą promienie, mające widmo utworzyć, znajdzie się para tegoż samego sodu, a para ta natychmiast żółty pasek pochłonie i na widmie ukaże się ciemny, to jest brak żółtego. Otóż w tęg leży cała tajemnica. Liczne paski ciemne widma słonecznego dowodzą, że światło słońca przebywa po drodze pary rozmaitych ciał, z których każda właściwe sobie promienie pochłania. Cóż łatwiejszego, jak rozpoznać naturę tych ciał, które wpływ swój wywarły na widmo, kiedy, jak widzieliśmy wyżej, każde ma swoje charakterystyczne paski. Tym sposobem odkryto na słońcu wszystkie prawie metale ziemskie; dziwna rzecz jednak, złota ni srebra nie znaleziono wcale. Coby na to powiedzieli alchemicy, którzy tak uporeczywie szukali złota w promieniach słońca i księżyca?

Ale nie tylko słońce, nawet i gwiazdy, światy dalekie, musiały wydać tajemnice swoje. Wszędzie, mniej więcej, znaleziono tęg same, znane substancje. Wszystkie ciała niebieskie zdają się mieć skład podobny, co potwierdza hipotezę Herszela, o jedynęj, powszechnej kosmicznej materyi. Poważni uczeni utrzymują, że widok w spektroskopie tego światelka, które nam przynosi tak dalekie wieści, zdolnym jest wzruszyć najzimniejszą duszę. To widmo i paski na niem są niejako dotykalna cząsteczka tych światów oddalonyh, a myśl, że człowiekowi dano jest ściągnąć ją na ten punkcik ciemny, który jest jego doczesnym mieszkaniem, przejmuje nas dziwnym, uroczystym uczuciem.

Ale wróćmy do słońca. Jasność słonecznego światła jest nieporównaną. Wszystkie nasze sztuczne światelka, niewylączając elektrycznego, na tęg świetnej tarczy gasną i wyglądają czarne jak węgiel. Największe doń podobieństwo przedstawia jednak światło elektryczne; można więc wnosić, że i źródło słonecznych promieni jest podobnej natury. Potężneż to stosy być muszą, z których takie wypływają prądy!

Nie ma ciekawszego narodu, jak uczeni. Potrafiliby oni nawet obliczyć ilość ciepła, którą to niezmierne ognisko wyrzuca rocznie z gorącego swego łona. Wystawmy sobie tęg olbrzymią kulę słoneczną, półtora miliona razy taką, jak ziemia, pokrytą pokładem węgla, na cztery mile grubości. Teraz podpalmy ten potężny stos, a będziemy mieli tyle ciepła, ile słońce w przeciągu roku wysyła w świat na wszystkie strony. Albo weźmy lodu w miejscu węgla i pokryjmy nim słońce na 800 mil grubości, a ono ten lód stopi w przeciągu roku.

Ale czémże się podsyca to olbrzymie ognisko? czy nie zagaśnie nam kiedy ta wspaniała pochodnia, tak jak zagasła nasza ziemia, która także przecież, według zdania uczonyh, była płynną rozpaloną, i świeciła jak gwiazdka malutka w przestrzeni? Wnosząc z przeszłości, zdaje się że przyszłość mamy zapewnioną na długo. Od wieków bowiem nie postrzeżono najmniejszego ubytku w tym kaloriferze naszym. Uczeni jednak brzydzą się samolubstwem, a troszcząc się na seryo tęg zadaniem, różne hipotezy powynajdywali dla podsykania słonecznego ciepła. Jedna jest bardzo ciekawa. Wiadomo, że naokoło słońca rozciąga się, w kierunku niebieskiego zwierzyńca, smuga światła, zwykle światłem zwierzyńcowym zwana. Natura tego światła niewylomaczona jest dotąd. Przypuszczają, że to są re-

sztki atmosfery, otaczającej słońce lub pierścienie drobnych asteroid, odbijających słoneczne światło. To ostatnie przypuszczenie podało myśl doktorowi Mayerowi, że te drobne ciała, pod wpływem przyciągania, jak grad spadają na słońce, a tracąc ruch, wytwarzają ciepło, według wiadomego prawa, że para w ciepło się zamienia i na odwrót. Ale te ciągle pochłaniania, choćby najdrobniejszych ciałek, musiałyby masę słońca ustawicznie powiększać, co zdaje się nieprawdopodobnym.

Tu nadmienić wypada, że te malutkie asteroidy, którym tak świetną rolę przypisują, są to też same teorie, znane nam dobrze, jako gwiazdy spadające i bolidy, a przez które, jak to ktoś powiedział, mamy jedyną bezpośrednią styczność z resztą świata, po za granicami naszej planety. Drobnutkie te światy, jak muchy do płomienia, zbliżają się najostrożniej do naszej atmosfery, a obdarzone równie szybkim ruchem, jak wszystkie ciała niebieskie, przez tarcie tej atmosfery zapalają się. Jedne wychodzą obronną ręką i lecą dalej swoją drogą, lecz niektóre też koniec życia znajdują na naszej ziemi.

Bezpieczniej i nam podobno przez szkła teleskopów do słońca zaglądać; bo powiadają owi matematycy, co to wszystko lubią obliczać dokładnie, że gdyby się do słońca zbyt zbliżyła, wpadłaby jak kamień w studnię, a nawet najwygodniejby się tam pomieściła wraz z księżycem, trzymając go zawsze w tej samej odległości, w jakiej znajduje się obecnie. Jeszcze, żeby z księżyca dostać się na powierzchnię słońca, potrzeba by przebyć prawie taką drogę, jak ta, która go od ziemi oddziela.

Droga to jednak nie do pogardzenia, jakkolwiek księżyc to nasz najbliższy sąsiad i towarzysz. Wynosi ona 51,821 mil geograficznych, a trzydzieści kul, takich jak ziemia, ustawionych jedna obok drugiej, zaledwieby utworzyły most dostateczny do przebycia tej odległości. Teleskop Rossa, najdoskonalszy jaki istnieje dzisiaj, zmniejsza tę odległość 6,000 razy. Patrząc więc przez ten teleskop, astronomowie widzą księżyc, jak gdyby był mniej więcej o dziewięć mil oddalony. Są podobno ludzie, którzy się dziwią, że po przebyciu tylu tysięcy mil, astronomowie ustalili w drodze i na księżyc dostać się nie mogą, kiedy ich już tylko tych nędznych dziewięć mil od niego oddziela. Nie tracą nawet nadziei, że ta mała przestrzeń kiedyś przez śmiałych astronautów przebyta zostanie.

Jednak żart na stronę, bo co dotąd na księżycu dopatrzono, nie daje wielkiej ochoty do podobnej wycieczki. Pokazało się bowiem, że tam niema ani powietrza, ani wody, tém samym, według naszych pojęć, życie zdaje się niepodobnym. Widocznie więc ten biedny księżyc, nie tylko wśród naszych pogodnych nocy, lecz i w stroju wszechświata, odgrywa jakąś rolę widma. Niezna on ani wicherów naszych, ani burz szalonych, ani wściekłości oceanów. Wieczna cisza zalega wieczną pustynią. A jednak i on niegdyś zapewne żyć i cierpieć musiał.

Według dzisiejszych wyobrażeń nauki, słońce, ziemia i księżyc, przedstawiają trzy różne peryody w postępowym tworzeniu się światów. Słońce jest materią rozpaloną i płynną; ziemia, wewnątrz płynna, zastęga zewnątrz, tak że skorupa jej i atmosfera zdolna jest żyjące istoty utrzymać, księżyc zaś wygasł do szczytu i jest już trupem. Tak więc i naszą ziemię i resztę planet, a ostatek i gwiazdy miałyby czekać, koniec podobny.

Zachodzi tylko pytanie, jakie ma być przeznaczenie tych wszystkich trupów? Ale to już temu tylko wiadomo, Który ze śmierci tworzy życie; dla Którego tysiąc lat, jako jeden dzień, a jeden dzień, jako tysiąc lat.

I otóż w kilku słowach przebiegliśmy niezmiernie obszary niebieskie, od mgławic, tonących w bezdennych głębiach, aż do sąsiedniego księżyca. Nie wyobrażamy sobie, żeby ta pobieżna gawędka mogła kogo nauczyć astronomii; chcieliśmy tylko wskazać osobom szukającym wrażeń, jaki wzniosły urok nauka ta przedstawia umysłowi człowieka, jak dalece zdolną jest podnieść ducha i uszlachetnić uczucia. Ze smutkiem bowiem zaznaczyć musimy, że w wychowaniu młodzieży naszej, a zwłaszcza dziewcząt, wiadomości z nauk przyrodzonych bardzo podrzędne zajmują miejsce, często nawet zupełnie są zaniedbane. Można nieraz napotkać panienki, bardzo nibyto starannie wychowane, któreby się wstydyli, gdyby im się zdarzyło przypadkiem wspomnieć nazwisko którego z francuzkich lub niemieckich klasyków, a które jednak bez zarumienienia pytają, co to jest właściwie ciemnica optyczna? lub: czy jest jak osobny gatunek szkła na lornetki, że tak zbliżają i powiększają wszystko?

A jednak, nauki przyrodzone, przy dobrym kierunku, mogą zająć w wychowaniu bardzo poważne stanowisko, mogą być, nie tylko ozdobą umysłową, ale dźwignią moralną. Rozważanie dzieł Bożych, widok odwiecznego porządku świata, oczyszcza ducha, budzi uczucia wznioślejsze. Podobny kierunek, wcześniej umysłowi nadany, ochronić może później od wielu błędów, od wielu pojęć fałszywych. Zdarza się bowiem, że niedostatecznie, lub ze złego źródła zaczerpnięte wiadomości, zamiast podnieść, oświecić, zaciemniają tylko duszę, zachwieją w pojęciu w dzieciństwie wiarę i religijne uczucia. Umysł chciwy nowości, chwytą wszystko bez zastanowienia i równie łatwo dawne burzy jak nowe buduje.

Wiadomo jednak, jakie to umysły umiały pogodzić religię z nauką. Dość wspomnieć Kopernika, Keplera, Newtona. Ci ludzie, którzy nowe drogi wytknęli nauce, którzy rozświetlili ciemności nagromadzone wiekami, byli głęboko religijni. Priestley wślawił się w nauce znakomitemi pracami nad naturą gazów i pisał zarazem traktaty religijne.

Tak jak dobry fundament stanowi trwałość całej budowy, tak i w wychowaniu, zasady wpojone w młodocianym wieku, stanowią wpływ wywierają na późniejszy rozwój umysłu. Zdania tego nigdy nadto często powtarzać nie można rodzicom i osobom trudniącym się wychowaniem.

Uczmy więc zawczasu dzieci nasze poznawać Boga w dziełach mądrości Jego; uczmy je czytać w cudownej księdze przyrody, w której także, litera zabija, lecz duch ożywia; a wtedy widok potęgi rozumu ludzkiego, nie zbudzi w nich nigdy uczucia pychy, ale miłość dla Tego, który iskrami nieśmiertelnego ducha tchnął w nas i stworzył na obraz i podobieństwo swoje.

M. J.

WIADOMOSCI LITERACKIE.

Kilka myśli o wychowaniu i kształceniu niewiast naszych.

przez A. D.

Podobnie jak w każdym przedmiocie obchodzącym żywiej ogół społeczeństwa, pisano już wiele o wychowaniu; w obecnej szczególnie literaturze, znaleźć można

nie jedno znamienite dzieło tej treści, żadne wszakże nie wyczerpuje rzeczy o tyle, ażeby już nic nowego o niej powiedzieć nie można, tembardziej, że zwykle potrzeby obecnej chwili, coraz nowe nasuwają uwagi. Chętnie też witać należy każdą podobną pracę i śledzić w niej to co pożytecznym być może. Myśli zwłaszcza o wychowaniu kobiet w którym dziś tak stanowcze zachodzą przeobrażenia, powinny zwracać powszechną uwagę. Wszyscy którzy się obecnie zajmują tym przedmiotem, dzielą się zwykle na dwa obozy, przedstawiające dwa zupełnie przeciwne sobie kierunki. Jedni bowiem pragną aby kobiety szła w zawody z mężczyzną, i żądają dla niej zupełnego równouprawnienia, drudzy zaś chcą ją widzieć zawsze „kapłanką domowego ogniska,” którą to nazwę powtarzając aż do znudzenia, nie zastanawiają się że aby uczynić zadość żądaniu temu, ognisko domowe posiadać trzeba koniecznie, o co skutkiem materialnego położenia ogółu, coraz dziś bywa trudniej. Zarówno więc dla wymagalności pierwszych jak dla rojeń drugich, nie łatwo znaleźć zastosowanie w życiu. Niepodobna mimo to nie przyznać że obecnie warunki istnienia kobiet, stały się nader ciężkie, skoro przeminęły już niepowrotnie owe błogie czasy, gdy mogły się nie troszczyć o swój byt materialny, mając go łatwiej zapewniony. Nie myślimy się tu wdawać w ekonomiczne rozprawy jakby go polepszyć, lecz powiemy tylko, że pragnęlibyśmy aby wychowanie usposabiało kobiety do dźwigania ciężarów życia i losu jaki im przypada, za nim zajądą w tymże zmiany o których marzą. Słusznie powiedziano: że dzisiejsze kobiety zatraciły tradycje właściwych im dawniej przymiotów a nie zyskały nowych. Czemuż to przypisać należy jeżeli nie błędnemu kierunkowi ich wychowania. Pani A. D. autorka *Myśli o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych* książki wydanej niedawno we Lwowie, o której mówić zamierzamy, czując wadliwość dzisiejszej edukacji, owoce rozmyślań swych w tej mierze podaje ku pożytkowi matek rodziny, czujących ważność powołania swego. „Wychowana w wiejskim domu przez rodziców świątłych o dobro dzieci gorliwych, łożących wielkie koszta na ich wykształcenie mówi w przedmowie, przeczuwałam jakimś instynktem wiedzioną, że najlepsze ich chęci, wielkie zasoby idą marnie. Spragniona wiedzy, mając często w ręku książki bogatej treści, chociaż jeszcze na pół tylko dla mnie zrozumiałe widziałam jak nauki nad którymi długie godziny pędziliśmy, były bezładne, beztreściwe, jak niezapakowały żądań naszych, nie mogły odpowiedzieć wymaganiom jasnego i pojętnego umysłu. Zbyt wczesnie zostawszy sierotą, o własnych siłach dalej pracując, co chwilę sprostregalam jak mi brak naukowych podstaw, jak po omacku brodzę w książkach, jak mało ze szczerzej pracy wynoszę pożytku. Zaczęłam rozmyślać nad tem co sama przeszłam, czego doznałam, rozglądać się po naszym społeczeństwie, szukać ideału powołania i powinności niewieścich, porównywać doń niewiasty nasze, i oto wynik moich rozmyślań.“

Pierwszy rozdział swej książki rozpoczyna następnie autorka od wspomnień o dziełach edukacyjnych Klementyny Hoffmanowej i Eleonory Ziemięckiej. „Ktokolwiek chce poznać stan wykształcenia niewiast naszych mówi, ten zbadać musi sposób zapatrywania się obu tych autorek na ten ważny przedmiot, a jeżeli uwzględniając nowe potrzeby i wyobrażenia, nie zawsze zdanie ich podzieli, w zamiłowaniu przedmiotu, pracowitości i sumiennosci nasładować je musi.“ Dalej określa charakterystykę kobiety, dowodząc że tak jak-

kolwiek ustrojem swoim fizycznym i moralnym jest odmienną od mężczyzny, umysł jej zarówno zdolny jest do wszechstronnego wykształcenia. Nie wchodząc w to, czy w istocie *wszystkie* kobiety zdolne są wyrównać mężczyznom w rozwoju umysłowym, i postępować na równi z niemi w różnych kierunkach pracy, lecz podziеляjąc w zupełności przekonanie autorki, że wyższe wykształcenie umysłu i serca usposobić je może lepiej do spełnienia celów i obowiązków życia, przytaczamy tu niektóre jej myśli w tym względzie. „Chociaż silnie przekonani, mówi pani D. że kobiety mogą siłą umysłu sprostać mężczyznom, ukształceniem i wiedzą im wyrównać, nie żądalibyśmy dla nich niemożności rozwijania ich władz umysłowych, gdybyśmy choć przez chwilę myśleć mogli, że bardziej wykształcone nie spełnią swego istotnego powołania; że dla nowych prac, zajęć i celów, wzgardzą powinnościami córek, żon, matek i gospodyń, bądź dla tego, że się im zbyt pospolitemi wydada, bądź dla istotnej niemożności pogodzenia tych dwóch kierunków; gdybyśmy przypuścić mogli, że wydoskonalenie władz umysłu, odbierze im wdzięk, czułość, dobroć, te najpiękniejsze płci ich cechy. I jeżeli obstajemy za udzieleniem kobietom silnego wychowania chrześcijańskiego i wszechstronnego a gruntownego wykształcenia, tego umysłowego, że tak rzekę równouprawnienia, czyniemy to w przekonaniu, że tylko tak wychowane i wykształcone niewiasty, zdołają obecnie spełnić obowiązki względem siebie, rodziny, ludzkości w całej ich rozległości i szczytności, w całej ich misterności i drobiazgowości; że tylko takie zajmą w społeczeństwie miejsce, jakie im tam wyznaczają potrzeby duchowe i materialne teraźniejszości, i zostaną ostatnimi sługami Bożemi na ziemi.“

Mamyż teraz jeszcze dowodzić jak fałszywym jest twierdzenie: że kobieta ma być samem uczuciem, mężczyzna rozumem i wolą, twierdzenie, którego prostym następstwem byłoby uznanie, że doskonałym jest mąż obrany z uczucia, łagodności czułości, mąż twardy nieubłagany, a ideałem niewiasty istota bez woli, zdania, sądu, dająca się unosić uczuciu, rządzić wyobraźni, lekka jak piórko, wiotka jak trzcina, różnobarwna, nieuchwytna jak motylek! Mamyż tu dowodzić o śmieszności twierdzenia, że takie dwie istoty przeciwzążyć się i dopełniać będą? Bo nie jestże jawnem, że się one wcale niezrozumieją, nie zgodzą? że śmiesznością, zachcianką, dziwactwem dla jednej będzie to, co dla drugiej celem,—okrucieństwem, barbarzyństwem dla niej to, co dla dla niego koniecznym, nieubłaganym obowiązkiem. Człowiek kobieta czy mężczyzna, ma być duchowo skończonym w sobie i o swojej stać sile: połączeni wspólnie, mają pracować nad swem udoskonaleniem, wspólnie spełniać swe ziemskie zadania, promienieć świętością na rodzinę, na ludzkość całą. Oboje uczucie łączyć muszą z rozsądkiem, z tą różnicą, że mężczyzna chęć rozumowania ma łagodzić uczuciem, niewiasta porywy serca i wyobraźni hamować rozumem.

Wiele osób sądzi że wiedza dla kobiet jest zbyt ciężką, ponieważ wcale nawet nieukształcone równie kochają swe dzieci, równie są gotowe do poświęceń dla kraju i rodziny jak najbardziej wykształcone; pozornie tak się dzieje, ale często niewiasta nieoświecona pomimo najgorętszych uczuć i najlepszych chęci, gubi swą rodzinę, nie w porę i niewłaściwie dla kraju się poświęca, bo nieznając swych obowiązków, nierozumiejąc celów wiecznych ludzkości, i potrzeb chwilowych społeczeństwa w którym żyje, poświęca się często bezmyślnie, niepotrzebnie. Zresztą Bóg rzadko nam daje sposo-

ność spełnienia czynów niezwykłych, poświęceń szczytnych, i tylko od wybranych ich wymaga; ale od wszystkich ludzi w ogóle, a więc i od wszystkich niewiast wymaga całego życia pracy i trudu; od każdej rachunku ze zdolności jej danych, rachunku z czynów spełnionych: a chcąc rozwinąć i użytkować dary Boże na korzyść materyalną, umysłową i moralną rodziny, społeczeństwa i ludzkości, nie dość dla niej mieć wiarę, serce czule i chęci skwapliwe, potrzeba jej wiedzy—potrzeba jej wiadomości celów ostatecznych przez Boga ludzkości zakreślonych i środków jakie Bóg złożył w jej ręce; trzeba jej znać drogę jaką ludzkość już przeszła i tę którą przebieść jej potrzeba; stanowisko w obecnej chwili przez nią zajęte i prawdziwe posłannictwo niewiasty w ludzkości, pole zostawione do jej uprawy, trzeba jednostkom znać rodzaj zdolności jakimi je Bóg obdarzył, i rodzaj zawodu w którym te w całej pełni najkorzystniej mogłyby być użyte.

Ze wszech stron podnoszą się skargi na upadek rodzinnego życia, a jednocześnie daje się słyszeć żądanie, aby kobiety wróciły do prostoty i obowiązkowości dawnych niewiast, które rodzinie wystarczały i na domowym życiu poprzestać umiały. Nic niestety słusznieszego nad tę skargę, lecz nic zarazem fałszywiej obmyślanego nad ten środek zaradczy. Francuz powiedziałby na to, że chcąc sprostać swemu powołaniu trzeba iść z wiekiem; *Il faut être de son siècle* nie hołdując jego przesadom, ale zadość czyniąc jego wymaganiom. Lekarstwa na zło nie znajdujemy cofając się w przeszłość przed nami szukać go potrzeba.

Dawniej niewiasta nasza albo o wiele niższą była umysłowo od mężczyzny, a wtedy ślepo była mu posłuszną, uległością starając się łaskę jego zaskarbić, znosząc w pokorze nieraz srogą karę, bo prawo siły rządziło; albo zbliżona do niego siłą umysłu i woli, zajmowała obok niego poczesne miejsce, które tylko wyższości swęj zawdzięczała. W pierwszym razie domowe ognisko jej wystarczało, w drugim mieszała się do spraw rodziny, ba państwa nawet, i chociaż łamała zwyczaj, nikt się temu nie dziwił, bo odznaczała się rozumem, cnotą, wolą,—często ambicyą i dumą. Dziś panuje prawo względności, nie spisane, nie uświęcone, ale wszczępione w obyczaj, w charakter; dziś nikt siłą do uległości zniewał, nikt karać surowo nie może, zemsta chyba zostaje. Kobięt istotnie wykształconych mało, wszystkie pozornie oświecone, cóż ztąd wynika? Kobieta ma nominalnie wielkie w rodzinie miejsce, pozornie jest jego godną, w istocie sprostać mu nie może; to też mężczyzna znów ją często uwielbia i szaleje za nią, ale ani jej szacuje, ani ją kocha w prawdziwym tego znaczeniu; ztąd rozprzeżenie rodziny, brak charakterów silnych, wytrawnych, hartownych w mężczyznach; miłości, poświęcenia, namaszczenia w kobietach.

Mąż niezrozumiany w swych myślach, celach, pracach, badaniach przez nieoświeconą żonę, nie znajdując w niej współczucia, pomocy, otuchy, opuszcza dom, po za nim szukając rczywki; syn znudzony nierozsądną miłością matki, otrząsa się z więzów uszanowania i posłuszeństwa ku niej, zasłania się swoją umysłową wyższością. Rodzina związana najczęściej w widokach materyalnych korzyści, łączą się tylko i jednoczy dla zapewnienia bytu materyalnego dzieciom. Smutna to, bolesna prawda; ale złe leży nie w wykształceniu kobiet, lecz właśnie w ich niewiadomości; nie dawszy nigdy gruntownych umysłowych i moralnych zalet kobietom, orzeczono *a priori*, że teni nigdy

nie przywiąże męża, nigdy jego i siebie nie uszczęśliwi, i odtąd starano się rozwinąć w niej wdzięki, talenta, to co przyciąga ale na chwilę, co rozdrażnia wyobraźnię,—nie nasycając jej, co obudza miłość własną—nie usprawiedliwiając jej.

Prawdziwe wykształcenie, połączone z chrześcijańskim wychowaniem, otaczające jednocześnie jej zdanie, myśl sąd i wolę, otwierające przed nią skarby wiedzy, uzdolni ją dopiero do zadość uczynienia wymaganiom zajętego stanowiska, pozwoli jej zająć ważniejsze jeszcze, wywalczy jej szacunek i miłość męża, uszanowanie synów, ustali byt rodziny, na wspólności zdań, uczuć, prac, myśli i celów opartej. Spójrzmy koło siebie, a ujrzemy fakta stwierdzające to zdanie; ujrzemy że gdziekolwiek kobiety otrzymują prawdziwe wykształcenie, umieją nietylko wybornie spełnić swe rodzinne obowiązki, ale jeszcze pogodzić z nimi pracę wprost społeczeństwu użyteczną. Przekonamy się że rodzinne życie ustaje, rozprzegają się obyczaje, charaktery maleją, samolubstwo i materyalizm biorą górę, tam, gdzie niewiasta, uważana jako cacko i bawidełko, powierzchownie jest kształconą, a od udziału w życiu czynu i myśli usuwaną; gdybyśmy zaś chcieli, występując po za ramy tego pisma, rzucić okiem wstecz na minione wieki, zobaczylibyśmy, że wykształcenie udzielane kobietom, miejsce naznaczone jej w społeczeństwie, przyznana jej swoboda, mogą być skalą jego moralności, cywilizacyi i oświaty."

W dalszym ciągu pani D. kresli nader trafnie trzy rodzaje najpospolićj napotykaných u nas postaci kobiecých, to jest kobiet: *kokietek, marzycielek i gospodyń*. Pierwsze robią wszystko pozornie na polę tylko, nie przez gruntowne poczucie obowiązku, lecz raczej przez chęć zdobycia poklasku świata; drugie marzą o doskonałości, ale jak jej dosięgnąć, nie mają sposobów i życie ich upływa bezużytecznie, w nigdy nie ziszczonych rojeniach; trzecie zaś dla zachodów około materyalnych trosków, zapominają o potrzebach ducha, nie pamiętając: że nie samym chlebem człowiek żyje, i że: *Maryja najlepszą częśćką obrała, która jej odjętą nie będzie.* (c. d. n)

LISTY Z PETERSBURGA.

IV.

Świątynie różnych wyznań.—Sobory: ś. ś. Piotra—Pawła i Kazańskiej Matki Boskiej.—Kopia obrazu Częstochowskiego w Kazańskim soborze.—Sobór Ś. Izaaka.—Cmentarze.—Niszczenie ciał za pomocą ognia, jako środek zachowania zdrowia publicznego.—Domy.—Ulice.—Powozy remizowe.—Most Mikołajowski.—Pomniki.—Drzewa świateczne z podarunkami dla dzieci i dorosłych.—Towarzystwo Freblowskie.—Wystawa malowideł w akademii sztuk pięknych.—Opera włoska: Patti i Lucca.—Międzynarodowa telegraficzna agencja.—Kolej żelazna z kuchni do sali jadalnej.—Przewożenie potraw na czołnie.—Stan pogody.—Pobyt książąt niemieckich i hrabiego Moltke.—Pojedunek.—Śmierć Biskupa Stanlewskiego.

W N. N. 6, 7, 8, 10 i 11 Kroniki Rodzinnęj, roku IV-go (1870 — 1871) podaliśmy już wiadomość o tujejszych Rzymsko-Katolickich kościołach. Dzisiaj mówić będziemy o świątyniach innych wyznań.

Cerkwi Grecko-Rossyjskich w Petersburgu liczy się 210, z których 145 należą do rodzaju tak zwanych cerkwi domowych, znajdujących się przy koszarach, turmach, dobroczynnych, naukowych i innych rządowych zakładach, oraz w domach prywatnych. Większa część cerkwi domowych są zarazem parafialnemi.

Klasztorów jest dwa: męzki i żeński.

Domów modlitwy innych wyznań liczy się 40, z których 30 Chrześcijańskich, 7 zakonu Mojżeszowego i 3 Mahometańskiego.

Wymienimy tu kilka większych Greko-Rosyjskich cerkwi, zwanych soborami.

Sobór ś. s. Piotra i Pawła, zbudowany w latach 1714—1732, jest miejscem wiecznego spoczynku monarchów rosyjskich, zaczynając od Piotra I. Dzwonnica tego soboru, stanowiąca najwyższy budynek w stolicy, ma z galką i krzyżem, około 230 łokci wysokości. Kupiony przez Piotra W. w Amsterdamie za 45,000 rs. i umieszczony na dzwonnicy zegar, co kwadrans odegrywa hymn nabożny, tworząc melodyę za pomocą uderzeń dzwonów różnej wielkości.

Styl *soboru Kazanckiej Matki Boskiej*, zbudowanego w latach 1801—1811, według planu akademika Woronichina, przypomina kościół Ś. Piotra w Rzymie. Wspaniała kolumnada porządku korynckiego, gustownie po obu stronach facyaty rozrzucona, stanowi widok majestatyczny. Wnętrze tej świątyni zawiera wiele ozdób i kosztowności. Tak zwane *drzwi cesarskie* (carskie wrota) i kratki odlane są ze srebra. Wartość wszystkich ozdób obrazu Matki Boskiej Kazanckiej wynosi 100,000 rubli. W pobliżu daje się widzieć wizerunek *Matki Boskiej Częstochowskiej*, przywieziony w roku 1813 z Częstochowy przez generała Sakena i z rozkazu Cesarza Aleksandra I, po ozdobieniu złotem i klejnotami, umieszczony w soborze Kazanckim. Obraz ten znanym jest w soborze pod właściwą sobie nazwą *Częstochowskiego*. Duchowieństwo Greko-Rosyjskie codziennie odprawuje przed nim nabożeństwo, przy stałej gorejącej lampie i świecach stawianych przez lud pobożny. W soborze Kazanckim spoczywają zwłoki księcia Kutuzowa-Smołenskiego i zachowują się: 107 chorągwi francuzkich, klucze od różnych warowni i inne trofea z lat 1812 i 1813.

Sobór ś. Izaaka (Isaakiewski), założony w roku 1768 według planu budowniczego Rinaldi, przerobiony zaś w stylu greckim i w roku 1858 ukończony, według planu znanego architekta Monferana, zalicza się do rzędu najwspanialszych świątyń na świecie. Wzniesionym jest na pamiątkę urodzin Piotra I-go, przypadającą 30 Maja (1672 r.), w którym kościół grecko-rosyjski obchodzi uroczystość Ś. Izaaka. Fundament składający się z Finlandzkiego granitu ma pod sobą 10,700 palów, wbitych dla wzmocnienia gruntu. Cała świątynia ze strony wewnętrznej i zewnętrznej pokryta różnokolorowym marmurem, ale wewnątrz jest tak ciemna i ponura, że znajdujące się w niem malowidła znakomych artystów, obrazy i mozaiki, snycerskie i rzeźbiarskie utwory, lazurkowe kolumny, malachitowe filary i inne rzadkości, niesprawiają i połowy tego wrażenia, jakieby nastąpiło przy dostatecznej ilości światła dziennego. Mówimy tu o widoku ogólnym, bo każdy szczegół rozpatrzonej z bliska, w najdrobniejszym sprzęcie objawia arcydzieło sztuki. Zbudowanie soboru kosztowało 23½ miliona rs. Summa ta może dać dostateczne wyobrażenie o wspaniałości świątyni. Na samą złotą różnorodną ozdobę wewnętrzną wyszło 520 funtów złota. W soborze Ś. Izaaka zachowują się trofea wojny szwedzkiej z lat 1700—1709.

Cmentarz w Petersburgu liczy się 20, z których 7 grecko-rosyjskich, 2 protestanckie, 1 żydowski, 1 tatarski, 1 perski i t. d. O cmentarzu katolickim podaliśmy wiadomość mówiąc o kościołach. Petersburg więc ze wszystkich stron otoczony cmentarzami, a że wszystkie są przepelnione—tego już łatwo się domyslić, przy-

pomniawszy iż corocznie dwadzieścia kilka tysięcy osób przenosi się tam na stałe mieszkanie. Oddawna istnieje projekt urządzenia w odległych od stolicy miejscowościach, kilku wielkich cmentarzy, dokądby ciała zmarłych mogły być codziennie przewożone koleją żelazną. Jest nadzieja że projekt ten, w prędkim czasie doczeka się urzeczywistnienia.

Dziwić się należy, że w widokach zachowania zdrowia publicznego, dotychczas nie przyjęto sposobu niszczenia ciał za pomocą ognia. Wszystkie epidemie bez wątpienia straciłyby wtedy całą moc swoją, a na wojnach, gdzie tysiące ofiar pada codziennie, taki rodzaj pogrzebu byłby najwłaściwszym.

Petersburg liczy domów 9000, z 92,000 mieszkań, ogrodów publicznych 7, prywatnych 800, skwerów 6, placów 45, ulic 500, zaułków 200.

Domy nie zalecają się gustownością architektury. Jakaś jednostajność i ciężkość stylu wszędzie się przebiega. Wewnętrzne urządzenia jeszcze więcej pozostawiają do życzenia. Tylko w ciągu ostatnich lat 15 zaczęto budować domy z większymi względami na potrzeby piękna i wygody.

Z ulic zasługują na wspomnienie następujące: Newski Prospekt (ma długości pół mili, szerokości 70 łokci), Wielka Morska, Wielka Sadowa, Litiejna, Milionna, Angielska Nadbrzeżna i inne. Główniejsze ulice brukowane są drzewem, inne zaś zwyczajnym kamieniem. Wszystkie chodniki wyłożone są taflą kamienną. Robiono próby bruku żelaznego, ale się nie powiodły.

Powozy remizowe zasługują na wszechstronną nagannę. Jednokonne dorożki są wązkie, niewygodne i bardzo nietrwałe. Codziennie czytamy w gazecie politycznej o wielokrotnych wypadkach od złamania dorożek podczas jazdy. Karety zaś są brudne, niezgrabne i tak źle opatrzone, że wiatr a czasem i deszcz do środka się dostaje. Kurs jednokonnej, odkrytej dorożki (parokonnej tu niema) kosztuje od 20 do 50 kop., stosownie do odległości i wspólnej umowy. Karety i kocze zajmują się na pół dnia (za cenę od 3 do 4 rubli), lub na dzień cały (od 5 do 8 rubli). Jest wprawdzie niewielka ilość nowych i kształtnych remizowych powozów, ale te, z powodu swojej rzadkości cenią się w dwójnasób. Przy takich warunkach komunikacyjnych, parokonna warszawska dorożka, stanowiłaby dla Petersburgszczytanów, pod wszystkimi względami ideał doskonałości. Tutejsze omnibusy drogi żelazno-konnej są bardzo wygodne i tanie: miejsce wewnętrzne kosztuje 5 kop., zewnętrzne 3 kop. za kilkawiorstową przestrzeń; inne zaś omnibusy mają jedną tylko zaletę—taniaści. W zimowe miesiące, jazda saniami tanią jest i wygodną.

Mówiąc o środkach komunikacyjnych, dodać należy, że w Petersburgu na wszystkich rzekach i kanałach jest 125 mostów. Zbudowany w roku 1851 na Newie przez znanego inżyniera, generała Stanisława Kierbedzia, most, zwany Mikołajewskim, łączący Wasiljewską wyspę z głównymi cyrkulami miasta, zalicza się do najpierwszych mostów na świecie. Bystrość, szerokość i głębokość Newy, wielce utrudniała roboty podwodne, które jednak zostały dokonane z taką trwałością, iż po dwudziestu latach istnienia, nie zauważano w nich najmniejszego nawet uszkodzenia, pomimo corocznych napływów kry, psującej niemiłosiernie inne tutejsze mosty. Mechanizm, za pomocą którego most Mikołajowski otwiera się dla przejścia statków, jest

prawdziwym arcydziełem sztuki, wzbudzającym powszechny podziw.

Od tego pomnika niepospolitego talentu Kierbedzia, przejdźmy do innych pomników wzniesionych ludziom znakomitym w różnych częściach stolicy.

Piotr Wielki uczczonym jest w Petersburgu dwoma pomnikami. Jeden z nich, wystawiony w roku 1782 nad Newą, na placu Senatskim, przedstawia Cesarza wjeżdżającego konno na górę. Około tylnych nóg końskich wije się wąż deptany kopytami. Cały posąg waży pudów 11,000, odlany jest z kompozycji miedzi, ołowiu i cynku. Podstawa składa się z ogromnej granitowej skały, znalezionej o dwie mile od Petersburga. U spodu—napis w języku rossyjskim i łacińskim:

Piotrowi Pierwszemu Katarzyna druga, Roku 1872.

Pomnik ten kosztował 424 tysięcy rub. assygn.

Drugi pomnik tegoż monarchy, wzniesiony na placu inżynierskiego zamku, wyobraża Cesarza również konno w stroju rzymskim, z wieńcem laurowym na skroniach. U spodu napis w języku rossyjskim:

Pradziadowi Prawnik. 1800.

Pomnik Cesarza Aleksandra I, wystawiony w roku 1834 przed zimowym cesarskim pałacem, składa się z granitowej kolumny, na szczycie której mieści się brązowa postać anioła z krzyżem. Kolumna ta, ważąca 44,100 pudów i mająca wysokości 42 łokcie, wyciosana jest z jednej bryły granitu; cały zaś pomnik, z podstawą i krzyżem, ma wysokości 77 łokci. U spodu napis w języku rossyjskim:

Aleksandrowi Pierwszemu, Wdzięczna Rossya.

W roku 1859, między pałacem wielkiej księżny Maryi Mikołajówny a soborem Ś. Izaaka, zbudowany pomnik Cesarza Mikołaja I. Na podstawie z granitu i białego marmuru mieści się brązowy posąg Cesarza, siedzącego na koniu, w mundurze pułku kawalergardów. U spodu—napis w języku rossyjskim:

Mikołajowi I Cesarzowi wszech Rossyi 1859 roku.

Pomnik ten kosztował 750,000 rub. sr.

W Petersburgu są jeszcze pomniki: Rumiancowa, Suworowa, Kutuzowa, Barkłaja-de-Tolli, Kryłowa i Wilje. W ogóle więc Petersburg obecnie ma 10 pomników. Wiosną nastąpi odkrycie jeszcze jednego pomnika—Cesarzowej Katarzyny II.

Przy zbliżających się świętach Bożego Narodzenia we wszystkich prawie rodzinach, przygotowują się podarunki dla dzieci, serduszka których napęlniają się żywą radością na widok obwieszonych zabawkami i oświetlonych lampkami drzewek. W niektórych zamożnych rodzinach, w wilęg święt Narodzenia Chrystusa Pana urządzają się drzewka z podarunkami nie tylko dla dzieci, lecz i dla dorosłych krewnych i przyjaciół. Zwyczaj dawania podarunków sługom dwa razy na rok: na Wielkanoc i Boże Narodzenie—jest tu powszechnie przyjętym nawet w rodzinach najmniej zamożnych.

W wyborze zabawek dla dzieci, od niejakiego czasu, spostrzega się znaczny postęp. Przedmioty rozwijające stopniowo umysł dziecięcy, coraz to bardziej wchodzi w użycie, do czego bardzo się przyczyniły tak zwane ogródki Frebla (Frœbla), w których dzieci otrzymują początkowe wychowanie według metody tego sławnego pedagoga. W miesiącu Maju roku 1871 urządziło się tu nawet Towarzystwo Freblowskie, składające się obecnie ze 100 członków (60 mężczyzn i 40

kobiet), którzy obrali na prezesa profesora Redkina. Zadaniem Towarzystwa jest zachęcanie wszystkich rodzin do wychowywania dzieci według metody Frebla. W tym celu mają się urządzać publiczne odczyty dla matek, oraz specjalne kursa, ze wzorowym ogródkiem, dla kształcenia nauczycielek i piastunek. Towarzystwo ma także na widoku wydawnictwo specjalnego czasopisma dla oznajomienia publiczności z rozwojem udoskonalonej metody dzieciennego wychowania w kraju i za granicą. Potrzebne na to wydatki mają być zaspakajane z dobrowolnych ofiar osób prywatnych, z corocznej opłaty członków (nie mniej 6 rs. od osoby), oraz z dochodów od publicznych kursów i wydawnictwa dziennika.

Roczna wielka wystawa tutejszej akademii sztuk pięknych, która przedtem odbywała się zwykle w jesieni, została odłożoną do wiosny. Natomiast w akademii były wystawione roboty uczniów na zadane temata i malowidła niektórych artystów. Najlepszymi z wystawionych utworów okazały się: „Piotr I, indagujący cesarzowicza Aleksęgo w Peterhofie,” pędzla p. He i „Wskrzeszenie córki Jaira” p. Zieleńskiego. Z obrazów rodzajowych: „Rybołówca” p. Perowa zwrócił powszechną uwagę.

Mówiąc o sztukach pięknych, nie można pominąć opery włoskiej, wielce ożywionej z powodu przyjazdu genialnej Adeliny Patti, której głos słowiczy przez cztery już zimy, zachwyca Petersburgszczytanów. Wystąpienie innej znowu znakomitej śpiewaczki Lukki, (Luca) wzbudziło także nie małe zajęcie. Przy końcu zimy, przedstawimy czytelnikom ogólne o wszystkich teatrach sprawozdanie, dzisiaj zaś nadmienimy jeszcze o kilku nowinach.

Od dnia 1 Stycznia 1872 r. rozpocznie działanie nowo-założona w Petersburgu przez p. p. Feigina i Szzikowa, międzynarodowa telegraficzna agencja, w celu zbierania i udzielania osobom prywatnym depesz treści politycznej, finansowej i handlowej.

Nienapróżno nazywają czas obecny wiekiem telegrafów i kolei żelaznych. Urządzenie telegrafów w domach prywatnych, oddawna się już praktykuje, ostatnimi zaś czasy i kolej żelazna znalazła zastosowanie w życiu codziennym. Przy ulicy Nadeżdzińskiej w domu N. 37, między drugim piętrem oficyny i głównego budynku, przerzucono przez dziedziniec dwa żelazne pręty na których stoi mały wagon, o żelaznych wklęsłych kółkach. Za pomocą sznurów, wagon ten przewozi potrawy z kuchni do sali jadalnej.

Pomysł ten przypomniał mi inny znowu, również komiczny sposób, dostarczania potraw z kuchni. Kilka lat temu, pewna rodzina, zamieszkująca jeden z letnich dworków na Krestowskiej wyspie, przyjmowała u siebie gości. Gdy zbliżyła się pora obiadowa, powódź okazała się na dziedzińcu i na całej prawie wyspie. Chociaż wkrótce woda zaczęła opadać, ale komunikacja z kuchnią położoną na drugim końcu dziedzińca, pozostawała jeszcze przerwana. Wtedy domyślny kucharz, przywołał wioslarza i w czółnie podwoził państwu potrawy.

W kończącym się 1871 roku nie było jednak powodzi. Jesień nawet niedługo dokuczala nam słotą, gdyż od dnia 26 Października zaczęły się lekkie mrozy, niekiedy tylko przerywane odwilżą. Ze światła dziennego korzystamy tak niewiele, że o godzinie 3½ po południu zapalają już na ulicach latarnie.

W taką nieprzyjemną porę roku, Petersburg przyjmował wysokich gości, książąt: Frydryka-Karola Pruskiego, Augusta Wirtemberskiego i Pawła Meklen.

burgskiego. Jednocześnie z nimi (23 Listopada) przybyli do Petersburga: znakomity Feldmarszałek hrabia Moltke, generał Werder i kilku innych pruskich generalów i oficerów. Goście ci oglądali wszystkie osobliwości stolicy, byli przytomni wielkiemu przeglądowi wojska i kilka razy odwiedzali teatru, gdzie przy ich wejściu grano hymn pruski narodowy.

Sredniowieczny zwyczaj roztrzymania orężem osobistych niechęci i nieporozumień, dotąd się nie wykorzenił. Od czasu do czasu wypadki takie powtarzają się w różnych krajach. W Listopadzie odbył się tu pojedynek między porucznikiem Preobrażeńskiego pułku gwardyi Bułyczowym i chorążym konnego pułku gwardyi, Koblewym, który otrzymawszy ranę śmiertelną, w parę dni potem, przeniósł się do wieczności.

Pozostaje nam jeszcze donieść Wam, że w dniu 29 Listopada, w Petersburgu zakończył życie zarządzający Mohylewską Rzymsko-Katolicką arcy-diecezją, Biskup Józef-Maksymilian Staniewski, zwłoki którego, 3 Grudnia, uroczyste pogrzebione zostały w sklepiu cmentarnego kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.

Artur Dolński

WSPOMIENIA Z PODROŻY.

FRANZENSBAD I JEGO OKOLICE.

(Ciąg dalszy.)

Na zakończenie moich wycieczek udałem się do słynnego wspomnieniami przeszłości miasta Eger; zdawała wygląda ono poważnie i imponująco. Wysokie, spiczaste wieże kościołów, zwłaszcza katedry, najrozmaiciej powyginane szczyty ceglanych czerwonych dachów, wysokie ściany domów, to skupionych, to rozrzuconych pośród drzew i okalające je resztki potężnych niegdyś wałów, ze sterzcącymi strażniczymi wieżami, nadają mu pozór daleko większego i porządniejszego miasta, niżli jest w istocie. Dopiero za zbliżeniem, z bólem serca przekonywa się, że to jedynie mara przeszłości, smutna jej ruina, miejscami tylko, i to już w odmiennym z upadku podnosząca się kształcie, w innej może zdobniejszej, ale zato pospolitszej bardziej znaniej i nieprzemawiającej już tak do serca i do wyobraźni szacie. Tymczasem stary gród ten, bogata i piękna ma historję. Wrzące w nim niegdyś pulsowało życie, liczne cechy i rzemiosła doszły do niepospolitego rozwoju i bogactwa, kwitnęły w jego wałujących się dzisiaj i opustoszałych ścianach. Otaczające je potrójnym kamiennym pasem mury, słynęły swoją siłą i mocą, stawiając Eger w rzędzie obronnych i groźnych fortec. Po za temi, murami roily się tłumy wolnych obywateli, którzy za swoje miasto i prawa, w potrzebie zbrojno i tłumnie stawali, własnymi piersiami najsilniejszy, żywy dlań wał stanowiąc. O pierwszym powstaniu Eger, nie mamy piśmiennych dokumentów, bo te wszystkie niszczały w pożarze. Podług podania jednak, już Rzymianie punkt ten wybrali, by na stromych skałach, omywanych wodami rzeki Eger, zatknąć swe zwycięskie orły i ztąd bronić swych zdobywczy. Ślad po nich pozostał dotąd jeszcze w czworograniastej czarnej wieży, zbudowanej z lawy sąsiedniego Kamerbühler, a zwanój téż wieżą pogańską (Heidenthurm). Wiarogodnym jest już jednak, iż w X stuleciu grafowie von Vohburg z ramienia cesarzów niemieckich, jako mar-

grafowie tych krain, dla obrony granic od ucisku Słowian ustanowieni, — pierwsi zbudowali tu w istocie na szczytach skał panujących nad całą doliną i okolicami, silne zamczysko, którego ruiny jako świadki przeszłości, jako pamiątka innych czasów, stoją dotąd imponujące, nawet swojemi szczątkami. Wkrótce pod mury zamku, zaczęli się kupić jak pisklęta pod orle skrzydła, przemysłowcy i rzemieślnicy, pomału wzrastało miasto, wznosiły się domy, ustawiane w ścieśnione ulice. Liczne i rozmaite przywileje i nadania, udzielone przez cesarzów, potwierdzone i rozszerzane przez ich następców, sprzyjały rozrostowi grodu. Kilkakrotnie później Eger byłoj zdobywanem przez nieprzyjaciół, i podobnie jak w innych miastach, zbiegiem niekorzystnych okoliczności, upadły rzemiosła, a świetne niegdyś budowy w ciężkich przejściach, zapasach i klęskach straciły swą zamożność, bogactwa i zamarło w nich życie, — Eger zaczęło wtedy coraz bardziej upadać tracąc swoją świetność i wielkość. Jeszcze nie tak dawno ludność jego kobięca, jako ostatni zabytek odrębności, nosiła właściwy sobie ubiór, to jest szary płaszcz z bogato tkanemi złotem szlakami i szczególnej formy czepece. Niwelujący duch nowych czasów, usunął i te resztki oryginalne, ubiegłej przeszłości. Każdy dom jednak, ma tu jeszcze odmienną, właściwą sobie strukturę i wielkość; każdy możnaby studyować jako zabytek minionej, zapomnianej sztuki architektonicznej. Na każdym prawie nad kamiennymi odrzwiami, albo na narożnikach, stróżują święci Pańscy, patroni ich mieszkańców; świecą godła ich pracy, lub rzemiosła, które dało im byt i los odległego zapewniło potomstwa; to wreszcie złocą się wypisane, pobożne myśli, moralne zdania, urywki modlitwy. Liczne rynki o rozmaitych kształtach i wielkości, pogięte i wykrzywione otaczającymi je ścianami, ozdabiają kamienne fontanny i studnie z takimiż statuetkami świętych, mężów zasługi, lub wreszcie bajecznych zwierząt, tryskających źródłem czystej wody z rozwartej paszczy. W środku miasta, strzela po nad dachy, dwoma smukłemi wieżami, główna jego świątynia pod wezwaniem Św. Mikołaja.

Przebiegając ulice, doszedłem w północno-wschodnim końcu do starego, zamku niegdyś silnie ufortyfikowanego, a dziś otoczonego wdzięcznymi ogrodami. Po stałym drewnianym moście, zastępującym dawny spuszczały, przebywszy bramę, którą na odgłos prostego dzwonka, chętnie otwiera usłużny burgrabia (a jak mnie szanowna jego połowica), przechodzień znajduje się na placu zdobnym kłębami kwiatów. Tu po lewej stronie wpada zaraz w oko na murach, kolosalna kamienna tarcza herbowa miasta, orzeł w okratowanym polu jakby przypomnienie losów, jakim ulegał kraj okoliczny przechodzący z rąk jednych panów do drugich i kilkakrotnie w lenną oddawany posiadłość sąsiednim władcom. Hohenstaufeny, powierzyły go księżętom Bawaryi, od których następnie Ottokar odebrał go dla Czechów. Rozterki króla czeskiego z cesarzem niemieckim, spowodowały przyłączenie eger-skij krainy do państwa tego ostatniego. Jutta znów, córka Rudolfa, przyniosła ją w wianie Wencesławowi II czeskiemu. Później Eger wrócił do ziem niemieckiego cesarstwa i został wydzierzawionym raz jeszcze Luxenburczykom, aż nakoniec wraz z Czechami przypadł Austrii, z którą ostatecznie złączył się na długie czasy. Dotąd jeszcze stoją mury dawnego cesarskiego pałacu, lecz zamiast gotyckich sklepień, mają dziś one lazny nieba nad sobą. Wiatry bująją swobodnie i świszczą przez szerokie okna, które dawno

straciły barwne swe szyby; dwa z nich zachowały jeszcze wyraźne gotyckie formy, i piękne łuki, trzecie ucierpiało najwięcej. Marmurowe słupy zniknęły w proch rozpadłe. Na opustoszałych murach znać ślady pięt, tak, że można rozróżnić wysokość komnat, ale odarte z ozdób ich ściany, okrywają dziś tylko mchy stare, albo gałęzie pnącego się bluszczu, lub wreszcie młodych krzewin, które dostawszy się w szczeliny, rozszarżają mury, dopełniając zniszczenia i swém życiem niosąc zarody śmierci. A jednak w murach tych kipiał ruch w owych czasach, gdy egerski zamek, był kwitnącym środkowym punktem daleko rozgałęzionych lennych stosunków, i gdy we wspaniałych jego środkowych salach, zasiadał sąd siedmiu mężów, złożony z senatorów miasta i kilku rycerzy z okolic, wymierzających sprawiedliwość i odbywających tu swoje narady, w owęj wreszcie chwili gdy w niej miała miejsce, tajemnicza, straszna a krwawa uczta, wśród której zginęli towarzysze i wierni sprzymierzeńcy Wallenszteina. Od owych czasów jakby kłątwa zaległa nad temi murami, opustoszały one, śmierć się w nich i zniszczenie zagnieżdżyło i tylko wspomnienia krwawego mordy zostały w balladzie Fontana p. t. *Zamek Eger, czyli śmierć trzech Czeskich grałów*, żywo i plastycznie opisującej ten epizod. W obrębie murów zamku, zaraz przy wejściu, polewej stronie znajduje się wspomniona wyżej wieża z lawy, mająca sięgać czasów rzymskich, a nazywana także *czarną wieżą* od koloru czworograniastych lawowych płytów jakie z czasem zlały się w jednolitą masę, która przetrwała lat tysiące. Na szczyt jej prowadzi 124 stopni, w połowie ciemnych, tak, że dla ich przejścia, trzeba się zaopatrzyć w latarnię. Widok jednak nie wynagradza trudności wdrapywania się po nieszczerólnie wygodnych schodach, zwłaszcza, że taki sam ma się z murów otaczających zamek. Za to godną jest detalicznego obejrzenia, wspaniała podwójna kaplica, składająca się z dolnej, St. Erkolda i górnej St. Marcina. Jestto prawdziwe arcydzieło średniowiecznej architektury, wzór niezmordowanej pracy w wykończeniu najdrobniejszych szczegółów składających ciekawą całość, choć w małych rozmiarach. Dolna kaplica sięga jeszcze X w. ale w XII z okazji wzniesienia górnej, musiała uleść przekształceniu. Ogół w obecnej swojej formie pochodzi z czasów rozkwitu stylu okrągłych łuków, jednakże w końcu XIII stulecia, po pożarze, jaki zniszczył dach, w miejsce drewnianego płaskiego pokrycia, właściwego bazylikom, otrzymała ona gotyckie sklepienie. Kaplica cała zajmuje dwa czworokątne piętra, z których niższe w połowie leży w ziemi, była to kaplica dla służby. W obu godne uwagi mistrzowsko wykonane kolumny wspierające sklepienia, każda mianowicie w pilastrach w innym guście, a w górnej boczna osobna kapliczka, o marmurowych słupach z jednej odrobionych sztuki. Z kaplicy górnej było bezpośrednie przejście do komnat zamkowych. Z murów rozciąga się wspaniały widok na zielone niwy Egerlandu, wśród których malowniczo odbija Sichenhaus i kaplica St. Anny, niemal z każdego punktu uroczej tej krainy widoczna. Zamek Eger miał być niegdyś złączony za pośrednictwem wyniosłego mostu przekraczającego rzekę, z innym zamkiem, po drugiej stronie tejże, przez króla Wencesława wystawionym. Istotnie, na przeciwnym brzegu, znać jakieś ślady murów, z których przecież o znikłej budowie, żadnego niepodobna powziąć wyobrażenia. Z opisanych dopiero co ruin pospieszylem napowrót do środka miasta, by zwiedzić znowu miejsce zgonu Wallenszteina, to jest dzisiejszy „Stadthaus”, da-

wniej dom Pachelbela, ówczesnego burmistrza miasta, na głównym rynku stojący. Budynek to ogromny, czarny, ponury, ciężkiego stylu, jedném słowem, wyborne ramy do dramatu, jaki się w nim odbył. Zanim jednak podamy jego szczegóły, musimy słów kilka poświęcić wspomnieniu samego Wallenszteina, który tak smutną odegrał w nim rolę.

Albert, Wenzel, Euzebjusz von Wallensztein, pochodził ze staro szlacheckiej, czeskiej rodziny. Znany astronom Jan Keppler, zadał sobie pracę obliczenia konstellacji pod jaką przyszedł na świat — 14 Sierpnia 1583 r. o 4 godzinie z południa w zamku Hermanie nad Elbą — i z tego wyprowadzał poważne wnioski. Wyższy ten umysł nie mógł widać wyswobodzić się od pewnych uprzedzeń ówczesnych, i wnieść po nad ducha przesądów. Podług Kepplera konfiguracja gwiazd, w miarę tego, jak się kształtuje w chwili przyjścia człowieka na świat, oddziaływa na jego wewnętrzne życie, wywiera przeważny wpływ na ducha. Nad losami człowieka i jego kolejami czuwa Opatrzność i opiekuńczy gienjusz, jaki mu ona nadaje; istota jego kształci się i formuje, wedle praw niezłomnych świata i położenia gwiazd przewodniczących. Połączone dwie gwiazdy, Saturn i Jowisz, miały przy świecać przyjściu na świat Wallenszteina a połączenie ich właśnie Keppler uważał za nader ważne i wpływowe dla przyszłej działalności jego. Saturn znamionuje melancholiczne usposobienie, zmienny, burzliwy umysł, gardzący prawami ludzkimi, samą nawet religją, brak wszelkiej braterskiej, a nawet małżeńskiej miłości; gwiazda ta wyrabia człowieka nielitościwym, popędliwym, niespokojnym, zwadliwym, zaciętym i nieprześląganym. Ponieważ jednak z Saturnem połączył się Jowisz, należy się więc spodziewać, że większa część z pomienionych wad w późniejszym zniknie wieku. O młodym Wallenszteinie, sądził Keppler, że miał niespokojnego ducha, więcej myśli niż je zdradzał pozorem, że dążył do dochwałych celów i nowości bez względu na środki. Dalej przypisywał mu pragnienia sławy i potęgi, egoistyczną dumę i upór, zuchwałą odwagę, mogącą go z czasem postawić na czele malkontentów; wnosił że będzie miał licznych i potężnych nieprzyjaciół, lecz ich powiększłej części pokona. Niepodobna ażeby Wallensztein, który sam następnie z takim poświęcił się zapalem astrologii, nie wiedział o tej przyszłości, jaką Opatrzność w gwiazdzistych nad głowę jego zapisała głoskach, w olbrzymiej przeznaczeń księdze. Zresztą, na podrażniony przecuciami temi, marzący a daleko sięgający umysł, nie mogło nie oddziaływać i to, gdy mu powtarzano, że urodził się pod temi samymi gwiazdami, co niegdyś królowa Elżbieta angielska, która w dziejach swego narodu tak ważną odegrała rolę. Z pochodzenia swego Wallensztein należał do partyi protestanckiej, gdyż oboje rodzice jego byli tego wyznania, odumarli go jednak wcześniej bo przed 12 rokiem życia, w której to epoce wziął go na wychowanie wuj z linii macierzystej Albrecht Sławata. Oddany przezeń do szkoły, w której pozyskał wkrótce przydomek „szaleńca”, przez innego ze swoich wujów dostał się do Jezuitów do Olomuńca. Tu wpływ ojca Pachta, do którego i w późniejszym wieku okazywał wielkie przywiązanie, skłonił go do przejścia na łono kościoła katolickiego. Nie tylko jednak na samo religijne usposobienie Wallenszteina wpłynął nowy systemat edukacji, oddziałał on na charakter i polityczne pojęcia młodego wychowanka. Ciasne więzy czeskiego partykularyzmu, tak nieodpowiednie naturze Wallen-

sztetna, nie znoszącej wszelkiego skrepowania i ograniczenia, ustąpiły przed wykształceniem kosmopolitycznym jego mistrzów, których włoskie, gorejące usposobienie, ambitne i szerokie dążenia, przypadały doskonale do ducha młodzieńca. Zresztą Wallensztein, bynajmniej nie ugiął się ani poddał surowemu katolickiemu systematowi. Owszem wkrótce potem spotykamy go na protestanckim uniwersytecie w Altordf gdzie prowadząc hulaszczy i swobodny żywot, tak się miał sprawować, iż jedynie ze względu na wysoką jego parantelę w Czechach, oszczędzono mu wstępu wydalenia. Z awanturnicznych przygód jego tutaj, opowiadają między innymi, że skazany za coś na areszt, jaki studenci postanowili ochrzcić nazwą tego, kto pierwszy doń się dostanie, wpuścił tu najpierw swego pudła, od którego też w istocie miejsce to przezwano W Insprucku znowu miał wypaść z okna, nie poniosłszy pomimo znacznej wysokości, żadnej ztąd szkody. Cudowne to prawie ocalenie, utwierdziło w nim pewność i wiarę w niepospolite wyższe przeznaczenie. Pomijając jednak te nieświdzane dokładnie i stanowczo wieści, niewątpliwem jest, iż Wallensztein dla dokończenia swego wychowania, odbył podróże po Anglii, Danii, Francji, i Włoszech. W Padwie w celu wtajemniczenia się w astrologję przebył czas dłuższy przy słynnym naówczas w tej nauce Argoli. Po studiach naukowych, oddał się znowu studjom wojennym. To też po powrocie z Włoch, wstąpiwszy do wojska cesarskiego, otrzymał stopień oficera, by walczyć w Węgrzech z Turkami. Po ukończeniu kampanii ożenił się z bogatą choć starszą od siebie wdową, Lukrecją Nekyssową z Landell, po której odziedziczył na Morawach tak znaczny majątek, iż w wojnie, przez Arcyksięcia Ferdynanda wkrótce potem przeciwko Wenecyanom przedsięwziętej, był już w stanie własnym kosztem wystawić dwustu dragonów i tychże w ciągu sześciu miesięcy na swym żołdzie utrzymać. Odnaczając się we wszystkich potyczkach i starciach odwagą i przezornością, umiejętnem obejściem swem z ludźmi i hojnością, umiał pozyskać sobie życzliwość towarzyszy broni; pamiętał o swym oddziale tak dobrze, że ten opływał w zbytek, wtedy gdy pozostała armia cierpiała niedostatek; wkrótce też stał się ulubieńcem żołnierzy. Po ukończeniu wojny, mianowany przez cesarza Matyasa pułkownikiem, ożenił się powtórnie z córką bogatego i możnego hrabiego Harrach. Z wybuchnięciem w Czechach, zaburzeń które zaczęły trzydziestoletnią wojnę, znanym w dziejach faktem wyrzucenia z okna pragskiego zamku, królewskich urzędników: Sławaty, Martynicza, i Fabrycyusza Wallensztein stanowczo okazał że trzyma za cesarzem. Po połączeniu się stanów Morawii z czeskieimi, schronił się do Wiednia, uwiózłszy z sobą kasę wojenną w kwocie koło 90,000 talarów, za co zwerbował regiment kirassyerski. Walczył potem przeciw awanturniczemu, ale bohaterskiemu hrabiemu Mansfeld, który będąc od żołdzie Unii protestanckiej w Niemczech, przyprowadził w pomoc Czechom 4000 posiłkowego wojska. Uczestniczył nawet w pragskiej bitwie, gdzie porażka Czechów pod Bi ałą Górą, zdecydowała ich losy na zawsze. W następnym pochodzie do Węgier, Wallensztein przyjął odznaczający się udział. Już wówczas jako wynagrodzenie za swoje usługi dla tronu, Wallensztein otrzymał od cesarza Ferdynanda II, następcy Matyasa, posiadłości Friedlandu z tytułem księcia. Były to jednak dopiero pierwsze kroki w tej świetnej karierze, która go jeszcze spotkać miała. Gdy później król Chrystyan IV Duński podniósł oręż w sprawie uci-

śnionych niemieckich protestantów, gdy Anglja i Holandia, zawarły z nim sojusz, a nawet i katolicki regent Francji, kardynał Richelieu, nie wahał się z politycznych względów, obiecać mu pomoc pieniężną, cesarz, wśród groźnie powstającej burzy, obok wycieńczonego skarbu i braku wojska, w nader ciężkiem znalazł się położeniu. Otóż w tej to właśnie krytycznej chwili, Wallensztein, który z książęcym prawie przepychem przemieszkował w rozległych swych dobrach, w Czechach, uczynił skłopotanemu Ferdynandowi propozycję wystawienia własnym kosztem 50,000 armii, jeżeli mu tylko oddanem zostanie naczelne nad nią dowództwo i łupy ze zdobytych krajów. Jakkolwiek w owych czasach, było to zwyczajną rzeczą, iż pojedynczy dowódcy, na własną rękę zbierali oddziały, a łapiąc i grabiąc zarówno sprzymierzeńców jak nieprzyjaciół, wynagradzali sobie tym sposobem koszta utrzymania swojego wojska, pomimo to wszakże, obietnica Wallenszteina, objawiającego się z gotowością, bez wszelkiej jakiegokolwiek pomocy ze strony cesarza, wystawienia kolosalnej, jak na ówczesne czasy siły wojennej,—wydawały się tak dalece przesadnymi i urojonemi, iż o mało nie odrzucono ich jako szaleństwa. Pod naciskiem jednakże konieczności, po niejakiem wachaniu, gdy innego nie było wyjścia, cesarz Ferdynand zgodził się na awanturnicze propozycje. Wyznaczono w Czechach punkta zborne i Wallensztein, któremu pozostawiono możność obsadzania z własnego ramienia miejsc oficerskich, założywszy główną swą kwaterę w Eger, z niepospolitą energią przystąpił do zuchwałego swego przedsięwzięcia. Świetny i rychły rezultat, przeszedł wszelkie oczekiwanie. Rozgłośna i ustalona już naówczas sława wojenna Wallenszteina, bardziej jeszcze słynna jego hojność, gdyż, prawie nigdy nie dawał w podarunku mniej nad 1000 guldenów, i bogactwa o jakich opowiadano dziwy, zabieżność jego oficerów, wreszcie nadzieje świetnego losu, kariery i bogatego łupu, ściągaly doń zewsząd ochotników. Nawet panujący książęta cheiwi sławy i przygód, ofiarowali mu się na regimentarzy i spieszyli ze swemi pułkami pod jego sztandary. Dla ambitnych, awanturnicznych charakterów, otwierało się szerokie pole działań, błyskała ponętnym światłem wojenna sława. Za jaką walczone sprawą, mało to obchodziło ówczesnych, nieukróconego ducha awanturników. Nie oglądano się kto miał słuszność, ale spieszono za tym kto dawał pewniejsze i większe rękojmie powodzenia. Najszlachetniejsze, najpodnioslejsze uczucia, prawdziwe przekonanie, gorąca wiara, stawała w jednych szeregach swoich rycerzy z tymi, którzy podnosili oręż w najgorszej wierze, bo z najniższych, najbardziej potępienia godnych pobudek nieraz chimery, lub przywidzeń. Całe dzieje trzydziestoletniej wojny, podniesionej pod sztandarami wielkich idei, najserdeczniejszych przekonań, najplodniejszych myśli, są tego mówiącym dowodem. Pod uludnemi pozorami, fałszywa, błędna, i występna polityka owych czasów, wyzyskiwała najpodnioslejsze, uczucia zarówno jak najniższe, namiętności. Przerzucano się z obozu do obozu, najczęściej zamiłowanie przygód, nieraz idealna, rycerska dawnych czasów miłość, z katolickiej do protestanckiej, lub z tej do przeciwniej przeciagała partyi. Za przykład służyć tu mogą Ernest hrabia Mansfeld, i książę Chrystyan Brunswicki; ten ostatni natchniony miłością dla hrabianki Pfalzu, rękawiczkę jej nosił w bojach na szyszaku, a dewizę „wszystko dla Boga i dla niej” na swoich chorągwiach. Wspomnieć również należy żyjącego w tej

epoce kurfirsta Kolońskiego Gebharda, który powiąwszy płomienną miłość dla hrabianki von Mansfeld, kanoniczki w Geresheim, z katolika został protestantem i dla szalonej tej miłości utracił swą godność i księstwo. Otóż w takich to czasach fantastycznych przygód, obozowe życie swobodne, hulaszce, nieznające żadnej tamy, szczególnie przynęcało tłumy. Zresztą może był to jedyny stan wolny od ucisku, owszem przeważnie cisnący wszystkie inne. Ludzie chcieli lekkiego zarobku, częstokroć ze społeczeństwem, w jawnej będący wojnie, ścigani jego prawami, a niedosięgnięci ramieniem sprawiedliwości, — zbiegali się w jedną groźną masę. Systemat ówczesny prowadzenia wojny, podług którego łupieństwo i rabunek, nietylko uważały się za dozwolone, ale nawet i legalne usprawiedliwione, jako wynagrodzenie za postawione na kartę życie, — zapewniał żołnierzowi świetne korzyści, zwłaszcza pod wodzą tego, który był bez serca na cierpienia i bóle ludu, ale za to szczerą miał rękę dla towarzyszy broni. Dostatek też i wygody w jakie opływał ówczesny żołnierz, drogo opłacać musieli mieszcianie i włościanie mrący z głodu, pozbawieni zasobów, potem i pracą zdobytych, niepewni życia i własności, zostawieni samowoli żołdactwa. To też zaledwie upłynął miesiąc od dnia, w którym Wallensztein rozwinął swoje chorągwie i gdy poraz pierwszy rozległ się głos trąb, jego nawołujących ochotników, już pod Eger zebrało się 20,000 wojska. We Wrześniu na czele tej nakazującej poszanowanie siły, wzmagającej się codziennie nowymi werbunkami, Wallensztein wyruszył w Brunświckie. Wprawdzie otrzymał on od cesarza rozkaz połączenia swjej armii z wojskami Ligi i uderzenia wspólnego z bawarskim generałem na króla duńskiego. Ale oddawna zazdrosny wziętości Tillego, nie myślał dzielić z nim wawrznów zwycięstwa i zgodzić się by ta ustalona sława zaćmiła jego dzieła. Dla tego też postępując z nim zgodnie, i wspierając jego ruchy, pomimo to szedł odrębnie i na własną działał rękę. Że zaś nie miał tych źródeł, jakimi Tilly opędział potrzeby wojska, postanowił więc przeprowadzić swoje do żyznych i zamożnych krain, oszczędzonych dotąd przez wojnę, t. j. do ziem Halberstadtzkich i Magdeburških. Tu rozłożywszy się na zimowe leże, opanował Dessau nad Elbą a w Kwietniu rozbiwszy Ernesta von Mansfeld, ścigał go przez Szlązk i Morawy aż do Węgier. Nagrodą za zdobycze w Szlązku, było otrzymane ks. Sagan. Po zawarciu pokoju z księciem Siedmiogrodzkim Betlemem Gabor, Wallensztein powrócił na Szlązk do niższej Saksonii, a następnie zdobył Holsztyn, Szleswig i Jutlandyą. Nie mogąc dla braku okrętów zająć duńskich wysp, rozłożył znowu zimowe swoje leże wzdłuż Północnego morza, a cesarz oddał mu w zastaw, jako wynagrodzenie za koszta wojenne, księstwo Magdeburskie, którego ksiądzeta, jako sprzymierzeni z królem Danii zostali ogłoszeni za pozbawionych swoich posiadłości. Była to chwila największej potęgi i chwwały Wallenszteina; armia jego, która jak prawdziwa lawina w szybkim pochodzie ciągle narastała, doszła prawie do stu tysięcy ludzi, liczby niesłychanej w owe czasy a przerażającej kraje, które utrzymywać i żywić ją musiały. Sam Wallensztein nazywał się Generalissimumem cesarza na lądzie i wodach. Zrównany z dziedzielnymi ksiądzetami Niemiec, miał on prawo nadawać szlachectwo, bić monetę, rozrządzał wreszcie całemi krajami jako prawdziwy panujący, i ciągnął z nich nieobliczone dochody i zyski. Dumę jego nienasyconą podniecały monarsze łaski. W istocie cesarz przy spotkaniu ie

z nim w Brandeis, dozwolił mu nakryć głowę, co stanowiło najwyższy przywilej niemieckich książąt cesarstwa. W herbie swoim do anioła Friedlandu i orła Saganu, dodał on teraz głowę byka Meklemburga i gryfa Rosztocku. Upojonemu tém powodzeniem marzyły się coraz szersze i zuchwalsze plany. Pod pozorem rozwinięcia cesarskiej władzy, ustalenia rządów cesarza nad brzegami Północnego i Niemieckiego morza, a prawdopodobnie i myśląc o sobie, postanowił tu silne i niewrzuśzone pozycye. Roily mu się zdobycze, które dały by mu niezawisłość, pozwoliły obejść się bez monarchy, uwieńczyły nareszcie czoło jego koroną, o jakiej marzył tak upornie. Do tych jednak daleko sięgających planów, trzeba było przedewszystkiem floty, Wallensztein jej nie miał, postanowił ją jednak stworzyć; wezwał więc hanzeatyckie miasta i Polskę aby mu dały potrzebne okręty, żeby zaś zyskać punkta oparcia, wysłał Arnima dla zajęcia Pomorza. W istocie wkrótce fortece nadbrzeżne były w rękach cesarskich, jeden tylko Stralsund bogate i potężne hanzeatyckie miasto sprzeciwiło się przyjęciu cesarskiej załogi. Pomimo silnego i obronnego położenia rozległego tego portu, w którym liczne stały okręty, zabezpieczające mu pomoc i dowóz od strony morza, Wallensztein uznając jego ważność, w walce jaką prowadził przedsięwziął, postanowił go zdobyć koniecznie. Równie jednak niezłomnym było i postanowienie jego mieszkańców bronięcia się do ostatniej kropli krwi, waleczna na śmierć za stare swe prawa i drogie przywileje, za swą odwieczną niezależność. Prózne też były wysiłki Arnima, miasto od morza zasilane szwedzką i duńską pomocą, bohaterki stawiało opór. Dziewięć okrętów, które król Zygmunt III polski przysłał w pomoc Wallenszteinowi (jedyna siła morska i jedyny prawie raz występująca na widownię w dziejach naszego narodu) zostało przez duńską flotę zniszczonych, ponieważ zaś i Lubeka odmówiła mu swoich, Generalissimum nie miał zatem możności zamknięcia portu, którym do Stralsundu ciągle nowe wpływały posiłki. Pomimo to, wbrew podobieństwu Wallensztein, któremu dotąd nic oprzeć się nieśmiało, w końcu pośpieszył sam z 9000 wojska pod mury silnie obwarowanego Stralsundu. A chociaż cesarz nie przewidując szalonej wyprawy i korzystając z próby jego mieszkańców, wezwał go do odstąpienia obleżenia, dumny wódz postanowił nie pierwój się cofnąć, niż zdobędzie krąbrne miasto; groził że chociażby było ono łańcuchami przywiązane do nieba, musi mu się poddać; zaraz pierwszój nocy po przybyciu, przypuścił szturm gwałtowny. Nad rankiem gdy dano hasło do odwrotu, tysiące trupów zaległo pole walki, z której cesarscy nie zgoła nie odnieśli. Nazajutrz Wallensztein, obojętny na dotkliwie a bezowocne straty swoich szeregów, ponowił atak, poprzysiągłszy, że nie będzie oszczędzał nikogo powzięciu miasta bez względu na wiek i płeć. Lecz i tym razem straciwszy 1500 żołnierza, nie dopiął jeszcze celu. Była to istotnie straszna walka, z jednej strony zaciętość, z drugiej występowała rozpacz. Następných dni ostrzeliwano miasto z niezwykłą energią, pomimo wszakże tysiąca pocisków, codziennie osypujących piekielnym deszczem mury, ich mieszkańcy trzymali się niewzruszenie, śmialemi wycieczkami dokuczając oblegającym. W jednej nawet z takowych, wycięto prawie w pień cały regiment Tifenbacha, najdzielniejszy w cesarskiej armii. Do tego w nie pogodach i ulewnych deszczach, obleżeni znaleźli niespodziewanego sprzymierzeńca, jakby zesłanego im z nieba na ukaranie nieukróconej dumy Wallenszteina. W istocie

woda niszczyła obleźnicze prace cesarskich, a nakoniec zmieniła ich obóz w prawdziwe jezioro. W skutek wilgoci i braku żywności, trudnością jej dowozu spowodowanego, wybuchły w wojsku cesarskiem zaraźliwe choroby. Gdy 28 Lipca wylądowało do miasta 2000 Szwedów a król duński z 200 okrętami zjawił się na brzegach Meklemburga, zagrażając zdobyciom Wallenszteina; musiał on porzucić nadzieję zdobycia miasta, i ze wstydem wycofał się. Wreszcie rozkaz do odwrotu, w bezowocnej walce straciwszy 1200 ludzi. Moralna ta porażka miała fatalne skutki, zmniejszyła ona urok niezwyciężoności wojsk cesarskich i groźnej potęgi ich wodza, a natomiast podniosła ducha w jego nieprzyjaciółach, tak na polu walki jak przy boku cesarskiego tronu. Zrozumiał to też Wallensztein. Pospieszył zatem do Meklemburgii i by pozyskać sobie jednego z najmożniejszych sąsiednich panujących, Karola Duńskiego, zawarł w nim pokój w Lubece, wspomniałomyślnie zwracając mu bez wszelkiego wynagrodzenia wszelkie zdobycze. Jednocześnie zaś chociaż nie było już żadnego nieprzyjaciela cesarza w państwie, nietylko że nie rozpuścił wojska, ale nowymi werbunkami zapelniał jego szczyby. Cesarz potrzebując mieć w odwodzie siłę dla poparcia tak nazwanego „edyktu restytucyjnego” wydanego właśnie w tym czasie, przyzwalał na te kroki Wallenszteina. Jeśli jednak wykonanie edyktu tego, który zadawał najboleśniejszy cios dostatkom i potędze książąt protestanckich, a nadto był nowym gwałtem swobody sumienia, wywołało ogólne niezadowolenie, to jeszcze żywsze skargi i żale powodował ucisk i klęski jakie zrzędały dzikość i barbarzyństwo cesarskich i związkowych wojsk, które po świętych zwycięstwach, po całych rozlane Niemczech, dopuszczały się niesłychanych nadużyć, tak w krajach nieprzyjacielskich jak i sprzymierzonych. Arcyksiążę Leopold, rodzony brat cesarza, tak skreśla mu postępowanie własnych wojsk jego: „Wasza Cesarska Mość nie uwierzy ile naród cierpi na tych przechodach wojska. Byłem sam lat kilka na wojnie, ale takich okrucieństw jakie teraz spełniają się, nigdy nie widziałem ani dopuszczałem. W wojnie nie może się obejść bez szkody, — palenia, morderstwa i inne okrucieństwa, obecnie są czynami, którym officerowie już nie są w stanie zapobiedz. Wiem dobrze, iż Waszą Cesarską Mość inaczej o tem powiadają i w innym świetle stan rzeczy malują, ale zapewniam Ją, iż to o czem piszę jest prawdą. Mnie Waszemu najwierniejszemu bratu, możecie zupełnie wierzyć. Officerowie napychają swoje worki krwią i potem biednego ludu, i mógłbym imiennie wskazać wielu, którzy przed niedawnym czasem nędznie odziani przybyli bez krajcara w kieszeni, a obecnie posiadają od trzech do czterech kroć tysięcy guldenów gotówki. Tych sum nie zdobyli oni na nieprzyjacielu, lecz wycisnęli je i wydarli nieszczęśliwym poddanym katolickich książąt”. Pojmujemy łatwo co dziać się musiało w krajach protestanckich, jeżeli tak mógł pisać brat cesarski. Wyrachowano, iż Wallensztein w północnych Niemczech, w ciągu siedmiu lat, podług jednych zabrał łupu 700 milionów, (podług innych 70,000 milionów) talarów a więcej jeszcze wynosiły straty, jakie ponieśli włościanie i mieszcianie skutkiem ucisku i chciwości officerów, oraz skłonności żołnierza do rabunku i niszczenia.

(d. c. n.)

MARZYCIELKA.

POWIEŚĆ

przez

Halinę.

(Ciąg dalszy.)

Musiał tedy Wolski, dając lekcye kolegom młodszym na utrzymanie swoje zarabiać. W pracy i w niedostatku krzepiło Mirona wspomnienie ojca, chociaż go tylko w jednej postaci pamiętał: gdy odjeżdżający w jasną noc miesięczną i nad kolebką schylony, na czoło jedynaka uрониł gorącą łzę pożegnania. To też kiedy profesor oglądając rysunki Mirona, zawyrokował: „masz talent” — młodzieniec pomyślał sobie:

— Ojcowska łza będzie chryzmatem namaszczenia na dostojność człowieczeństwa; to czoło, na którym umierająca matka złożyła pocałunek ostatni, to czoło liść wawrzynu uwiecznić musi!

I dokonał cieniem rodziców uczynionej przysięgi: był szlachetnym, prawym człowiekiem, i miał świetną perspektywę pozyskania artystycznej sławy. Idealność koncepcji, cudownie piękny koloryt, wprędce zjednały mu rozgłos. Sprzedawszy korzystnie obrazów kilka, mógł urzeczywistnić zamiar podróży do „wiecznego miasta” gdzie zamierzył zdobyć sobie patent doskonałego mistrza sztuki.

Nazajutrz o najwcześniejszej z godzin, jakie na wizyty konwencjonalny kodeks wymienia, Miron Wolski spieszył do hotelu gdzie zamieszkały panie Karzyńskie. Wychylona oknem Jadwiga nie słyszała cichego skrzypnięcia drzwi, nie zauważyła wejścia malarza; dopiero na słowa ciotki: Najdroższa, mamy gościa! — odwróciła się szybko. Miron miał dzisiaj staranny i wykwintnyzubiór, który przecież jego urodzie, nie nie odbierał powagi męzkości; owszem, podnosił ją jeszcze, nadając jej cechę arystokratyczną.

Młodzieniec w progu, ona w blaskach słońca, które jak deszcz złocisty przez okno otwarte wpływały, — oboje cudownie piękni, zmieszani i wzruszeni naprzeciwno siebie stali. Jadwigę spuściła oczy rumieńce płonęły na jej twarzy i nikięły z niej, pod wpływem czarnych źrenic, które ją magnetyzowały spojrzaniem; przecież wnet odzyskała swoją zwykłą poważną spokojność, którą utraciła tylko na błyskawiczną chwilę, i głosem, który miał kontraltowe cokolwiek wibrujące, ale dziwnie melodyjne dźwięki rzekła:

— Pewną byłam, że nas pan odwiedzisz dziś rano.

— Za tę pewność dziękuję życzeniem: aby dzień cały składał się z chwil, tyle miłych dla pani, ile obecna chwila miłą jest dla mnie, odpowiedział malarz i z powitalnym uściskiem wyciągnął ku niej rękę.

Ona swoją lekko drżącą rączkę malutką, w jego dłoni złożyła nieśmiało, prawie lękliwie; — lecz powtórnie zapanowawszy nad wzruszeniem, które ją zarumieniło usiadła, a ze swobodną godnością skromnej dziewicy, gościowi wskazując miejsce obok siebie żartobliwie wyrzekła:

— W osobie mojej poznajesz pan wieśniaczkę, która prócz obecnej tu ciotki, a nieobecnych starego Wawrzyńca i Naści, w domku maleńkim, z żyjących istot, za jedyne towarzystwo ma tylko: stada czubatych kurtek, śnieżnopiórych gołębi, płowych turkawek i falangę ptaszków leśnych. Oprócz z miasta X, wspólnie odbytej podróży, dalszej wycieczki nie robiłam nigdy.

Warszawy nie znam wcale, chcę więc poznać i widzieć wszystko, co tu jest godnym poznania i widzenia.

— Pozwolisz mi pani być twoim towarzyszem i przewodnikiem? zapytał Wilski.

Jadwiga oczy na niego podniosła i znów je spuściła, a on zrozumiał że to spojrzenie odpowiedziało mu: dobrze,—to też dodał natychmiast:

— Od czego i kiedyż naszą po Warszawie wędrowkę zaczniemy?

— A cóż jest początkiem wszechrzeczy?—Bóg. Zaczniemy więc od miejsc chwale Jego poświęconych, od kościołów.

Tacy, którzy z najwspanialszych tumów zagranicznych wychodzili znudzeni i obojętni; tacy, dziwili by się, że Jadwiga z zachwytem oglądała naszą gotycką katedrę; tacy, którym najgenialniejsze arcy mistrzów obrazy wydają się tylko—zamalowanem płótnem,—tacy uśmiechnęli by się szydłczo, gdy Jadwiga w kościele Pijarów, z ekstazą klękała, przed wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa, który ma oblicze tak bolejące, jakby ciągle cierpiał i płakał, nad upadkiem tych, dla których męczeńską śmierć poniósł.

W łonie każdego człowieka tli iskra Bożej wszechwiedzy, którą szkoci nazywają: *drugim wzrokiem*, a którą my zowiemy *przeczućmi*. Ten „wzrok drugi” zwiastuje niebezpieczeństwo blizkie; w chwili spokoju daje znać o grożącej burzy; w tłumie poznać daje dusze z którymi nas łączy mistyczny węzeł sympatyj i które będziemy kochali mimo okoliczności przeciwnych, nawet wówczas, gdy inne uczucia zamrą powoli, a walką znużone serce, w odrętwiała apatję zapadnie. Serdeczna od pierwszej chwili poznania powzięta sympatya; łączyła podniosłe, szlachetnymi uczuciami pokrewne sobie dusze Mirona i pięknej, czarnowłosej panny.

Dumnie najczęściej, mileżący młodzieniec mało znajomej dziewczynie, spowiadał się z najdajniejszych wrażeń swoich:

— Na fundusze potrzebne mi na podróż do Rzymu mówił ze smętnym uśmiechem, ileż to składało się niekupionych książek, niewypitych filiżanek ulubionego napoju, jakież ogrom za abnegowanych przyjemności na nie się składał!...

— Tu, opowiadał przechodząc około statuy zwycięzcy z pod Wiednia,—tutaj zwykle czytywałem Górnickiego, Kremera; tam dalej wśród klombu tych drzew zaopatrzonej w niebo na skrzydłach poezji Adama „wzbijałem się nad poziomy”... W tej alei spotkałem raz niewiastę z dzieciątkiem na ręku, nie piękną, ubogą, lecz glorią macierzyństwa tak dostojną, że mi służyła za model do obrazu. W Warszawie na każdym kroku spotykam wspomnienia, pamiątki...

— To jak ja w Rozalinku, chociaż w szczupłych ramach zawarte, mam także pamiątki wspomnienia składające życia mojego historję. Gdybyśmy ją kiedy razem odczytywać mogli!..

— Chciałabyś pani?

Rumieniec, z alabastrowych lic Jadwigi, przeszedł na jej czoło i zawisnął na niem, jak obłok różowy, westchnęła a w tym rumieńcu, w tem westchnieniu, artysta, usłyszał najwyraźniejszą odpowiedź: Chciałabym najgorętszém, serca pragnieniem. Uściśnął więc jej rączkę małą, w swoich dłoniach szepcąc: Dziękuję!

Pani Karzyńska przybyła do Warszawy po odbiór kilku tysięcy złotych, których jej nikt nie zaprzeczał, lecz formy prawne wymagały jej obecności.

Nawyklą do ciszy wiejskiej staruszkę, ruchliwe życie męczyło niezmiernie, to też radośnie przyjęła wiadomo-

mienie, że jutro pieniądze jej wypłacą, a więc jutro będzie mogła wyjechać.

Lecz młodym państwu *wyjazd*, słówko maleńkie, zdawało się okropnem, jak wyrok wygnania z raju — wymienili tylko między sobą łzawe spojrzenia, smętne uśmiechy i pokiok gdzie zwykle brzmiał gwar wesołej rozmowy, w ten wieczór, który miał być ostatnim, razem spędzonym wieczorem, głucha posępna zaległa cisza. Nazajutrz Miron za rogatki odprowadzał panie Karzyńskie. Pogodny dzionek wiosenny chylił się ku zachodowi, młodzi państwo wysiedli z powozu, a idącym obok siebie wyraził jakiś serdeczne, gwałtownie rwały się na usta, lecz stłumione westchnieniem cichem, nie wypowiedziane zamierały w piersi.

Miron pierwszy przemówił nakoniec:

— Nieprawdaż pani, że drobniuchny jakiś wypadek, błacha okoliczność jakaś, częstokroć inny kierunek, inny zwrot naszemu życiu nadaje... Gdybym dzień jeden dłużej pozostał w Ojcowie, dziś nie z gościńca tego, lecz z nad Tybrowych brzegów byłbym patrzył na zachód słońca.

— Czyż pan tej zwłoki żałujesz bardzo?

— Ja miałbym żałować chwil, które jak nie złota wprężyły się w szarą tkankę mojego życia?... Nie rób mi pani krzywdy, posiadając o rzecz tak niedobłą—i wierz, och! wierz mi, że teraz opuszczam kraj za stokroć większym smutkiem, ze stokroć większą tęsknotą!...

— „Podzielony smutek, jest połową smutku” — te słowa wieszcza na pociechę panu daje

— A ja biorę je niby talizman na wytrwanie. Ale.. podobno czas dokonywa niekiedy zmian wielkich, więc może gdy po latach długich wrócę i chwilę obecną wspomnę, odpowiesz mi pani z litośnym uśmiechem: Obcy człowieku, czyli ty jeszcze, tę wiosnianą sielankę pamiętasz?... Jadwiga zbladła, jedwabna jej rzęsa, niby brzeżek fijołkowego listka zaświeciła kroplą brylantowej łezki.

— Czyż ludzie którzy wymieniali pomiędzy sobą najczystsze złoto myśli? Czyż tacy ludzie nawet po latach rozłąki najdłuższej, obcami sobie być mogą?

— Nie pani, tacy ludzie nigdy sobie obcymi nie będą! zawołał z zapalem Miron i na pożegnanie rączkę Jadwigi do ust przycisnął

W prędcie powozik obu kobiet znikł, a malarz widział tylko tuman szary i niewyraźny, jak niewyraźne i splecione w tej chwili były jego myśli.

Osamotnienie i sieroctwo między obcymi wyrabia wspólną sympatję, między krewnymi utrwała i ścieśnia węzły pokrewienstwa. Pani Karzyńska też, bezdzietna wdowa, jak własną córkę ukochała swoją synowicę Jadwigę. Obaj panowie Karzyńscy wychowawcy Zachodu, ludzie słabej woli, nieugruntowanych zasad, zbyt wczesnie samodzielni, w krótkich latach potracili miljonowe fortuny. Umierając, jeden wdowie kilkanaście tysięcy, a drugi córce malutkiej, za jedyne mienie zostawił cudem jakimś, z powodzi długów ocalony Rozalinek. Nie ufając swym pedagogicznym talentom, pani Karzyńska oddała Jadwigę na pensję. Okropną musiała być samotność znękaney kobiety, bo wracając do domu siostrzenicę, witała zalana łzami, w płaczu serdecznym długo nie mogąc się utulić. Nie rozłączemy się już nigdy, nigdy, mówiły obiedwie,

— Porobimy wizyty, projektowała później uszczęśliwiona staruszka, gdyż smutno by ci było Jagódka samotnej, jedynie w towarzystwie ciotki.

Następnej Niedzieli, pani Karzyńska umyślnie pojechała do miasteczka, gdzie zwykle całe sąsiedztwo zbie-

rało się w kościele. Niewidzianą od dziewięciu lat, wszyscy powitali jak marę jawiącą się niby z grobowych ciemni. Panie z którymi chciała odnowić znajomości i stosunki, te same które dawniej często biesiadowały w komnatach pałaców Karzyńskich,—dziś zaledwie protekcjonalnie głową skinąć i końce w paryżką rękawiczkę odzianych paluszków raczyły podać zubożałej milionerce. Promienna cudna piękność Jadwigi, wzbudziła zazdrość ogólną. Nie mogąc jejurody i obejścia wyśmiewa, szydzono ze skromnego jej ubrania niemilosiernie.

— Uważasz, moja droga, formę tej sukni przypominającej czasy króla Dagoberta. Cha! cha! zaśmiała się jedna z elegantek, która okiem uzbrojonym w złotą lornetę, przez całą kościelną nawę ścigała uroczą postać dziewczyny.

Pani Karzyńska usłyszała ten śmiech i zabolalo ją serce.

— Jagódka! rzekła wróciwszy do domu, spraw ty sobie nową sukienkę.

— Niepodobna ciociu.

— Dla czego?

— Bo z trzech tysięcy rocznego dochodu, nie można wiele kupować. Wyznam cioteczce żem także o jakichś fatalaszkach myślała. Lecz ułożywszy bilans wypadków jak niegdyś król August przywoływał ministra Brühla, przywołałam rozsądek i pytałem go słowy króla Sasa: *Habe Ich Geld?* a rozsądek, Brühla wyrazami odrzekł mi *Nein Majestat!* Tak, ciociu droga, trzeba w tym kwartale wyrzec się nowej sukni, gdyż inaczej musiałybyśmy robić długi.

— Długi! ach! broń nas Boże od długów! składając ręce westchnęła pani Karzyńska, bo w tej chwili przypomniła sobie — całą zgrają niby wampiry krwi — pieniędzy chciwych, nieubłaganych lichwiarzy, którzy jej salony odzierali z atlasowych draperyi, zabierając sprzęty nieocenionej wartości pamiętek.

— Chociaż wstążkę inną przypnij do kapelusza i włóż kaszmirową suknię, mówiła w Niedzielę następną.

— Nie ciociu, ta wstążka na całe lato wystarczy mi musi, włożę ten sam kapelusz, tę samą perkalikową suknię białą.

Zwiędłe lica stariej kobiety płonęły rumieńcem, gdy szła śród strojnych bogato, wesoło rozmawiających tłumów. Ona tak lękała się, by jej serdeczną dziewczeczkę na wstępie do życia, nie zranił obosieczny miecz sztyderstwa. Lecz Jadwiga swobodna, spoglądając do koła wzrokiem najsłodszej królowny, otoczonej dworem swoim, uśmiechnięta rozkosznie, stąpała śmiało podając rękę ciotce. Wsiadły obie do koczki, gdy nagle ruszyły konie, przelekniona dziewczyna cofnęła się, a w tym ruchu, spadł jej kapelusz, rozpięły się warkocze i nagle niezmiernym bogactwem kruczych splotów, niby czarnym, aksamitnym płaszczem odziana została. W tej chwili była cudownie piękną... i wyrocznia okolicy hrabia Amilkar, z ostentacją takie zdanie o niej wygłosił:

— Zwidziłem całą Europę, monarsze pałace i chaty wieśniacze nie są mi obce, lecz tak urodziwej kobiety nie spotkałem dotąd! W kilka tygodni po owem zdarzeniu, za pośrednictwem żony poczhaltera rozeszła się wieść że: panna Xymena odebrała pudełko noszące paryżki stempel. Cóż ono mogło zawierać?... Tajemnica niebawem odkryta została. Hrabia każdy był ideałem panny Xymeny; więc gust Amilkara był dla niej, — równie jak Napoleona kodeks, obowiązującym

prawem. Po odbiorze owego pudełka Xymena zawsze miała rozpuszczone warkocze.

— Nie wiedziałam że masz tak bujne włosy! dziwiła się jedna z przyjaciółek.

— *Ni moi non plus!* przywodziła druga.

— Ta fryzura *vous va admirablement*, zauważył hrabia, — zdaleka, do uroczej panny Karzyńskiej, trochę jesteś pani teraz podobną.

Pierwsza część komplementu ucieszyła czarnowłosą pannę,—druga, małą chmurką zasępila jej czoło. Sumarycznie jednak, panna Xymena, w głębi serca była zadowolniona.

Ale raz w lasku malowniczym urządzono spacer. Hrabia obok czarnowłosej,—inni jechali parami, które skojarzył interes albo sympatya. Nagle—powtórzył się epizod bibliiny, włosy Xymeny zaplątały się w gałęziach dębu, a silnie szarpnięte warkocze, jak dwa czarne, ogromne węże upadły na ziemię.

— Ach! otóż twój paryżki sprawunek! *il faut avouer*, misternie je układałaś te włosy, nie myślałyśmy że są przyprawne, chórem zawołały obecne damy.

Hrabia Amilkar ironicznie się uśmiechnął, co było zabójczym, ciosem dla Xymeny. Na pociechę i dla zdobycia tryumfów na innym polu, z rozpaczliwą namiętnością zaczęła się stroić. Każdy furgon jakies paki przywoził z Warszawy; pudełka z paryżkim stemplem, nie były już krukami białymi, zjawianie się ich częste uważano za fakt pospolity. Inne kobiety poczuwały się do obowiązku rywalizacji i od nieszczęsnego zdarzenia w lasku, ubogi kościół miasteczka N. stał się miejscem exybicyi najmodniejszych strojów. Zauważył to Amilkar, a z natury złośliwy rzekł:

— Co niedziela teraz, stroje pań przypominają mi najwspanialsze salony. Raczcie mnie tylko panie poinformować, według jakiej mody ubiera się panna Karzyńska, że wśród przepychu waszych tualet, jej ubiór odrębnym, a przecież niemniej świetnym blaskiem jaśnieje.

O zgrozo! suknia: „formą z czasów króla Dagoberta” zwyciężyła arcydzieła najrzęczniejszych modystek, Xymena chętnie znów naśladowałaby Jadwigę, lecz tym razem głośno rozsądka od śmieszności ją ustrzegł i stroje pozostały *in statu quo*.

Lecz za bezświadome tryumfy Jadwigi, upokorzone kobiety zapragnęły zemsty. Więc powitalnych ukłonów pań Karzyńskich nie uważano nigdy, a strojne damy rozsiadały się w kościele tak, że dla żadnej z nich w ławce miejsca już nie było.

— Jagódka, możebyś nie lepiej do Więclawskiego kościoła jeździły—mówiła staruszka zgnębiona temi demonstracyami niegrzeczności.

— Nie ciociu. W N. jest kilku księży, nabożeństwo uroczystsze, słowo Boże można zawsze słyszeć. Cemuż więc tych przyjemności mamy się pozbawiać?...

I regularnie w każde święta panie Karzyńskie bywały w N. Jadwiga, dla ciotki postarała się o krzesło, sama zaś obok niej klęczała, aureolą piękności cudnej promieniejąca, zamodlona, spokojna....

— Ty zanudzisz się bez towarzystwa, narzekała znów ciotka.

— Alboż wyglądam na osobę znudzoną? wesoło rozśmiała się dziewczyna. Mnie tak dobrze z tobą ciotulko moja, mnie tak dobrze w ślicznym Rozalinku naszym!

Bo też istotnie przeslicznym był ten Rozalinek. Miniaturowa willa miała misterną ornamentację, okna z kryształowemi szybami, zewnętrzne ściany białe i lśniące

ce, płaski dach, nad którym kwiaty i gałązki akacyi uwiły śnieżno-zieloną girlandę. Malutkie pokoje były ozdobione: stiukiem, rzeźbą, freskami i tysiącem kosztownych fraszek, bez których wykwintny bogacz obejść się nie może. Marmurowe wschody prowadziły do ogrodu, gdzie były kląby drzew najrozmaitszych, a drobne odnogi Narwi i piaskiem wysypane ścieżki wijące wśród trawników wyglądały, niby kryształowe i złote arabeski wprawione w tło malachitu.

Stary Wawrzyniec i Naścia hoża rówieśniczka Jadwigi—składali cały dwór pań Karzyńskich.

— Najdroższa, mówiła staruszka widząc Jadwigę okurzającą stiukowe ściany, lub nad pielaniem kwiatowych grządek schyloną,—najdroższa, ty zapracujesz się tutaj, możeby lepij było sprzedać Rozalińkę i przenieść się do miasta?

— Do miasta ciociu, gdzie niebo kominowy dym zasłania. Do miasta, to dla nas znaczy i do ciasnych izdebek malutkich, kędy sąsiedzka ciekawość śledzić nas i prawa konwenansów swoich gwałtem narzucać nam będzie. Tu przynajmniej swobodne jesteśmy.

— Ach! masz rację! masz rację najdroższa! westchnęła pani Karzyńska, zasmucona głęboko iż żaden z jej projektów nie mógł wytrzymać analizie krytycznej.

I staruszka nie myślała już o sprzedaży Rozalinki, pięknej, ustroni cichój, kędy Jadwiga jedyne źródło rozrywek znajdowała w marzeniach i w czytaniu.

Istoty, z którymi stykała się na drodze życia, były zwykle w prozie codziennych zaprzątnień maluczkich ugrzęźnięte, niby w ciasnej i ciemnej skorupie ślimaczego domu. Więc szlachetna i podniosła dusza dziewczęcia, ze wstętem odwracała się od nich, a natomiast ogarniał ją pewien rodzaj dziwnej niepokonanej, prawie miłosnej tęsknoty, ku owym ludziom polotów górniejszych, uderzeń serca gorętszych—ku tym wspaniałym pięknym postaciom, jakie malują genialni poeci, ku owym bohaterom, których czyni opowiada historia. Z marzeń swoich Jadwiga zwierzyła się przyjaciółce w liście, który przytoczyliśmy w rozdziale pierwszym.

Wrażenia które Jadwiga przywiozła sobie z Warszawy, były nie wyraźne, jak echo dalekiego śpiewu rusalek leśnych; były sliczne, jak pierwsze rozdziały Genezy miłości. Wprawdzie, nie wymieniła z Mironem wyznań żadnych, przecież po powrocie do Rozalinki, zapatrzona w dal mglistą, takie rojenia snuła jak Bogdanowe dziewczę u krosienek. Naturalną tego konsekwencją było: że ciotka często daremnie swęj ulubionej oczekiwała lektorki; że Naścia niecierpliwiła się nieotrzymując rozporządzeń skrzętnej gospoisi; że dzierżgana szlarka batystu, próżno wyglądała pracowitej rączki; gołębie i turkawki głodne, aż do pokoju wpadały, upominając się o pszenne ziarenka; a kwiatki zwiedłemi główkami świadczyły o zapomnieniu téj, która poprzednio darzyła je zwykle ożywczym napojem.

Lecz taki stan apatycznych marzeń trwał niedługo. Jadwiga poszedłszy raz do pokoju pani Karzyńskiej, usłyszała cichutkie łkanie.

— Co ciotka płacze? spytała troskliwie podbiegając ku niej.—O cóż, mój Boże, o cóż takiego?

Staruszka żywo otarła łzę i odrzekła:

— To nic, najdroższa, przypomniał mi się twój stryj, a mąż mój, przypomniało mi się wiele rzeczy smutnych i płakałam sobie, jak zwykle kiedy sama siedzę o zmroku.

Jadwiga uczuła nagle wyrzuty sumienia; więc kiedy ona myślą buja po rozkosznych krainach abstrakcyi, ta samotnica biedna, ta ubóstwiająca ją kobieta, tymczasem płacze najboleśniejszemi łzami, jakie wspomnienie bezpowrotnie minionej młodości, i wspomnienie ukochanych zmarłych wyciska. To téż pieśczołiwemi pocałunkami, ze zwiedłej twarzy ciotki ocierała ślady łez wylanych.

— Czyż Jagódka straciła już łaski że jej cioteczka daje dymisję z urzędu lektorki swojej? A właśnie całą paczkę nowych książek przywiozłam z Warszawy, rzekła żartobliwie, i gdy wniesiono światło, jedną z ramotek Wilkońskiego jąla czytać głośno.

Pani Karzyńska mimowolnie wdychała niekiedy jak dziecię które się płacze, śmiała się przecież serdecznie i cały wieczór była nadzwyczaj wesolą; a potem już nigdy o szarej godzinie nie siedziała samotna; potem już nigdy Naścia do niecierpliwosci, a kwiaty i ptaszki do skargi żalostnej nie miały powodu. W Rozalinku wszystko szło trybem dawnym, cichym, zegarkowym trybem.

Aż raz, dziewczynę w ogrodzie będącą głośno do domu przyzywała ciotka. Był to fakt bardzo zwyczajny, a przecież głos ten wstrząsnął nią tak silnie, że aż upuściła trzymany z pszenicą koszyczek. Furknęły przerażone gołębie i synogarlice, a jedna, śmielsza na ramieniu swojej karmicielki usiadła.

— Chodź, chodź najdroższa, wołała p. Karzyńska; chodź, ani wiesz jaka cię czeka niespodzianka.

Dziewczyna ku domowi biegła ciekawa, nagle stanęła przed nią Miron Wolski. Bezwiednie wyciągnęła ku niemu dłoń, które on ujął, kilkakrotnie uściskał z takim uczuciem, i w piękne jej oczy patrzył z takim zachwytem, jakby je na wieczność chciał w swoim wyręć pamięci.

— Witam panią, rzekł nakoniec, witam, jak monarchinię, otoczoną skrzydlatym dworem.

— Niestety! szepnęła panienska, Niestety! konstytucyjną tylko jestem królową, mam honory należne, dostojności monarszej, ale władzy żadnej.

— Czyż pani jesteś tak chciwą władzy?

— W królestwie ptaszem bardzo. Gdybym na przykład téj skrzydlatej rzeszy, była rzeczywistą monarchinią, byłabym na wszystkie świata strony rozesała moje gołąbki i one, przyniosłyby mi wieść, że pan zawrócił się z gościńca wiodącego do Panteonu nieśmiertelnej sławy.

— Gołąbki przyniosłyby pani wieść całkiem fałszywą. Ja z téj drogi nie zawróciłem się bynajmniej tylko... tylko niby starożytny greczyk, wyobraziłem sobie, że w Rozalinku jest góra Parnas i że źródła tu-tejszej Hipokreny przyszedłem zaczerpnąć natchnienia.

Jadwiga zrazu bledziutka, niby kwiateczek lili, zarumieniała się zwolna, kolorami które jej najpierw na policzkach małą plamkę różową zakwitły, a potem rozpląnęły gorąco. Rozmarzona pod wpływem słodkiego uroku, z rozkoszą słuchała melodyjnego głosu, który szeptał: tęskniłem bardzo... bardzo... bardzo...

— Uważasz pan, mówiła piękna dziewczyna, gdy zmrokiem przechadzali się po ogrodzie, uważasz pan że w królestwie mojem, przybycie artysty obchodzi uroczyście, radośnie?... Świętojańskie robaczki wyprawiły illuminację, kwiaty poją nas balsamiczną wonią, słowiki najcudniejsze dają koncerta, nawet swawolny

wietrzyk nie gwarzy i chmurki pomknęły daleko, daleko, tak że nad głowami mamy strop najczystszej błękitu.

Rzeczywiście wieczór był osobiście cichy, jasny, wonny i ciepły. Młodzi państwo z początku wiedli ze sobą żartobliwą, dowcipną rozmowę, ale fantasmagorya nocy i księżycowych blasków, szum Narwi i urok roztozonego w około piękna, zaczął ich czarować, upajając zwolna, zwolna, aż wreszcie w stan niewysłowionego zachwyty wprowadził oboje. Milcząc chodzili między klombami kwitnących krzewów, albo po gaju drzew starych które szumiały lekko; i nierychło, te dwie wysmukłe, drżącą księżycową luną osrebrzone piękne postacie rozstały się żegnając słowy: do widzenia! do jutra!

Czytelniku! znasz że ty melodyę którą ludzkiemu sercu miłszą była nad prosty dźwięk tych wyrazów: do widzenia! do jutra! drogiemi wymówionych ustami?..

— Nad czem pan tak gorliwie pracowałeś dziś rano, raz p. Karzyńska spytała Mirona, który rzeczywiście kilka godzin coś z wielkiem zajęciem malował.

Wilski uśmiechnął się tajemniczo, otworzył swoją tekę, wyjął pracę poranną, a zdjawszy zeń osłaniającą ją delikatną bibułę jedwabną, — pokazał swojej interlokutorce.

Staruszka poszukała w koszyczku swoich okularów a włożywszy je, spojrzała ciekawemi oczyma.

Na tle białego bristolu wodnemi farbami namalowaną była wysmukła dziewczęca postać, w draperjach błękitnej szaty przezroczej, z wieńcem liliowych kwiatów, na rozpuszczonych kosach, z idealną piękną twarzą, a złocistą kotwicą w malutkiej dłoni.

— Ach! najdroższy, krzyknęła uradowana staruszka, ach najdroższy! toć to jest portret naszej Jagódki.

— Ale pani, szepnął Wolski, to jest wizerunek anioła.

— Ale gdzie zaś, najdroższy, to Jagódka! uparcie twierdziła pani Karzyńska.

— Nie, raz wtóry z wielką powagą zaprzeczył Miron, to anioł pocieszyciel, przewodnik świetlany, anioł nadziei dobrej — świadczy o tém napis umieszczony u spodu.

W tej chwili do pokoju weszła Jadwiga. Jak na obrazku Wilskiego, miała też dzisiaj błękitną muslinową suknię fałdzistą i dyadem białych kwiatów nad czołem. Młodzieniec milcząc pokazał jęj malowidło i napis.

— Chcesz pani, zapytał cichutko, chcesz być dla mnie takim opiekuńczym, przewodnim dobręj nadziei aniołem?

I błagalnie patrzył w cudowne fijołkowe oczy panienki; jęj po twarzy przebiegały różowe łuny, źrenice świeciły gwiazdzistym łagodnym blaskiem; wreszcie niewymuszenie wdzięcznym ruchem podniosła rękę i tę malutką rączkę drżącą, złożyła w wyciągniętych ku sobie dłoniach malarza.

— Oto moja odpowiedź! szepnęła uśmiechając się przez łzę.

Ta chwila zbliżyła ich do siebie. Oboje nie chcieli już dłużej bronić się uczuciu, które pod czarem spojrzeń, pod urokiem słodkiej melodi jęj głosu, w sercach

ich rozwijało się szybko, jak s szybko pod ciepłem słonecznych promieni rozwija się kwiat spowity zwojami listków.

W dowód że ukochaną ma ciągle w pamięci, malarz codzien wieńcem niezapominajek, otaczał wizerunek Matki Najświętszej, zawieszony na konarze rozłożystej lilji, w gaju jaśminowych krzewów, gdzie Jadwiga przy blaskach porannej jutrenki różowej, zwykle modliła się, w oratorjum mającém ściany z zieleni żywej i strop z obłoków błękitnych.

Piękna panna przez cudowną intuicyę kochającego serca, odgadła, czyja to ręka wiła girlandy kwiatków modrych, czyja to ręka z różnobarwnych kamyków górskich misterną mozaikę artystycznie ułożyła, na tle złotego piasku, w około darniowego kłęcznika. Odgadła — i witając Mirona życzeniem dnia dobrego, zawsze dodawała: — dziękuję!

On nie pytał: — za co?... lecz odpowiadał jej wzrokiem, który najwyraźniej mówił: — uwielbiam cię, dziewczynko urocza i śliczna, uwielbiam, więc myśl moja nie odstępuje cię nigdy, ciągle jest z tobą!

W ciągu długich, razem spędzanych godzin, młodzi państwo rozmawiali o tysiącnych najrozmaitszych przedmiotach: O wielkich obowiązkach życia, o naturze, o Bogu.

— Indyjski myt, który opiewa, że bóstwo po raz pierwszy objawiło się człowiekowi, wśród błękitnych fal olbrzymiej rzeki, w śnieżysto-białym kielichu lotusa, bramińska legenda ta, ma swoje głębokie znaczenie. Harmonja wszechprzyrody, to niby ogniwa złotego łańcucha, który duszę ludzką wiąże z niebem, z Bogiem; pyszny duch ludzki w obec ogromu wszechświatów i wszechstworzeń pokornieje, czuje się maluczkiem, czuje się prawie nicością; a Bóg człowiekowi najwidoczniej objawia się w piękności wspaniałej, w zdumiewającej harmonji, w mądrych prawach, na których ta piękność i ta harmonja jest opartą.... A mądrość Stwórcy jest widoczna zarówno w szczytach Kordyljerów, jako i w drobnym atomie granitu, który tych olbrzymich gór jest cząsteczką składową, mądrość Stwórcy widoczna jest zarówno w nieugiętym cedrze Libanu, jako i w nikłym mchu islandzkim; w słoniu i w robaczku maluchnym, który niedostrzegalnie pełza wśród trawek zielonych... W każdym dziele wszechmocnej swojej prawicy Bóg jest wielkim, wielkim, wielkim!.... Tak mówiła Jadwiga, a Miron z rozkoszą patrzył w jęj lica rozpromienione zapalem, upajał się dźwiękami jej głosu, który zawsze melodyjny, w chwilach ekstazy stawał się jak gdyby przyciszonym śpiewem....

Kiedyindziej w bluszczowym cienniku siadali, piękna panna z haftem, on z pędzlem w ręku. Zwracając się ku ukochanej, niby do muzy, która czarodziejskiem zaklęciem umie w łonie artysty rozniecać święty ogień natchnienia, Miron pytał Jadwigi: — cóż mi pani każesz malować?

— Uwiecznij pan farbami te okolice, które Sarbiewski cudnie dźwięczną poezją opisał, odpowiadała dziewczyna, a Wilski słodkiemu rozkazowi czarnowłosej muzy posłuszny, wnet zebrał całą tekę ślicznych nadnawiańskich krajobrazów.

(D. c. n.)